

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

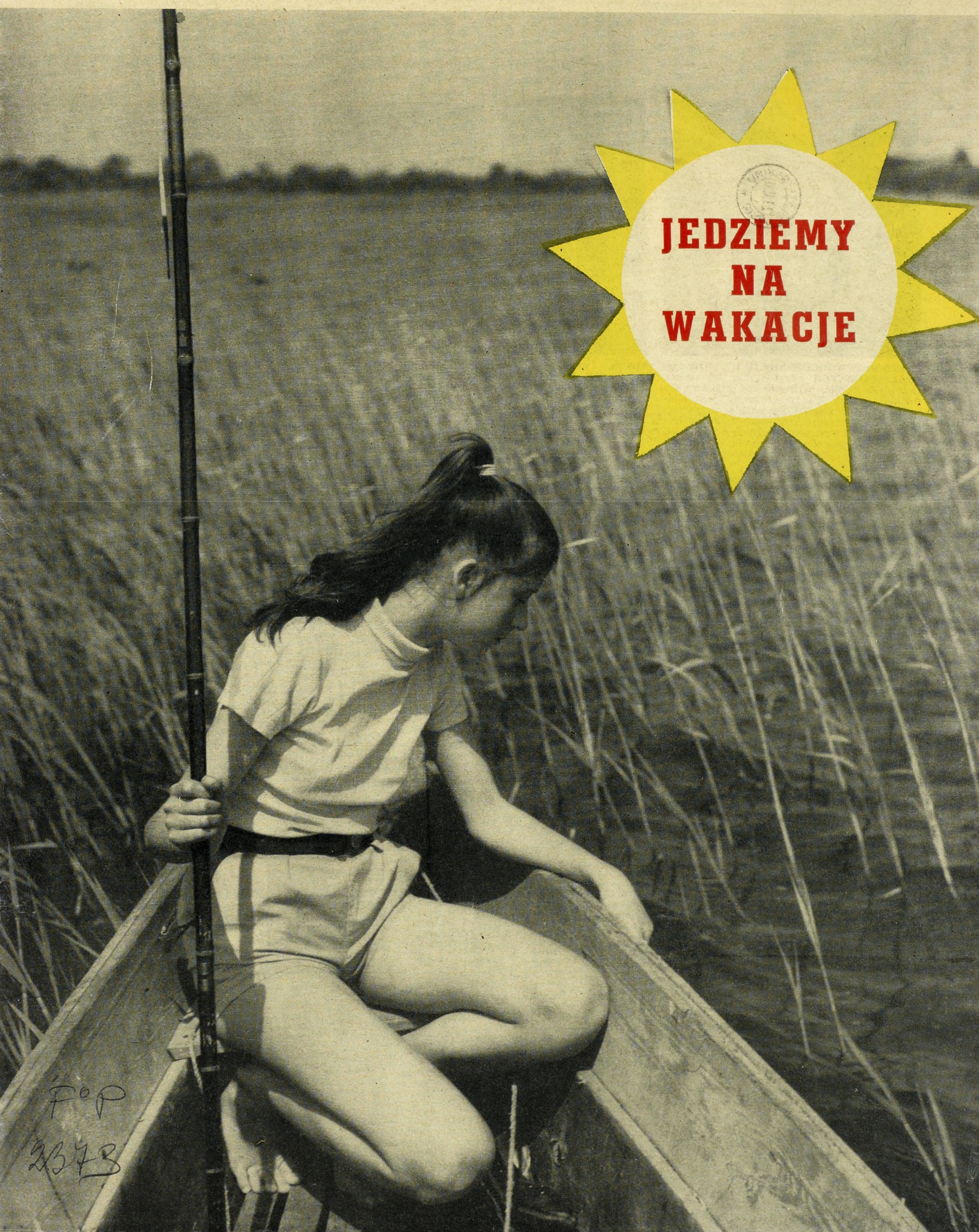
23, rue Talibout, PARIS 9^e

CENA 1,60 F
PRIX 14 F.B.

4-11 ^{sierpnia} août 1968

Rok wydania XI
Nr 32-33

(564-5)



**JEDZIEMY
NA
WAKACJE**

FOP
2373

NASZA OKŁADKA



„Na ryby, na grzyby, na lwy by?” — tak śpiewano w piosence popularnego w Kraju Kabaretu Starszych Panów. O lwy trudniej, lecz wszystko o rybach i wędkarstwie znajdziecie na str. 12—13.

La pêche est une activité de plus en plus populaire en Pologne. Et elle n'est pas uniquement réservée aux hommes. Lisez notre article en page 12 et 13.

FOTOKRONIKA CAF-KEYSTONE

▲ A Varsovie a eu lieu une rencontre au sommet des dirigeants de cinq Etats signataires du Pacte de Varsovie. Au cours de cette réunion on a étudié les principaux problèmes ayant trait à la situation internationale.

▲ Ce bâtiment, monument historique de Gdańsk reconstruit après la guerre, est aujourd'hui le lieu où sont exposées les oeuvres des peintres et artistes de la région.

▲ La plage de Międzyzdroje près de Szczecin est une station balnéaire les plus populaires de Pologne. Vous en saurez plus en lisant notre reportage en pp. 20 et 21.

▲ La spéléologie est un sport ouvert aux braves. C'est également un passe-temps agréable et plein d'émotion quand à l'extérieur il fait aussi chaud que dans une fournaise.

▲ Jusqu'à la mi-juillet la DCA nord-vietnamienne a abattu 3038 avions américains. Les restes de ceux-ci servent à faire des souvenirs. Espérons que cela ne durera plus longtemps.

▲ Khe Sanh est devenu le symbole de la défaite permanente des forces US au Vietnam du Sud. Malgré les pourparlers de Paris les victimes des deux côtés continuent à augmenter.

▲ „Rejoignez la résistance américaine” — tel est le mot d'ordre des jeunes Américains luttant contre la guerre du Vietnam. Ils sont de plus en plus nombreux et de mieux en mieux organisés.

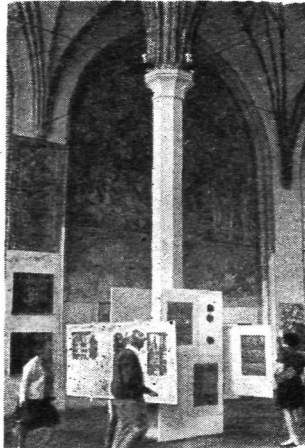
▲ C'est la dernière invention japonaise dans le domaine des jeux. Gagne celui qui réussit à conserver le plus long morceau de ficelle.

▲ Miss Brésil a été élue Miss Univers. Avant les élections toutes ces jolies filles avaient les mêmes chances.

▲ „Un petit coin de parapluie” — voici une bonne illustration de la chanson de Georges Brassens.



ZJAZD PRZYWÓDCÓW PIĘCIU KRAJÓW SOCJALISTYCZNYCH odbył się w Warszawie. Omówiono na nim najważniejsze problemy aktualnej sytuacji międzynarodowej, podkreślając konieczność zespolenia wysiłków wszystkich krajów socjalistycznych w walce z agresją imperialistyczną. Wystosowano wspólny list do KC KP Czechosłowacji. Na zdjęciu: powitanie L. Breżniewa przez Władysława Gomułka



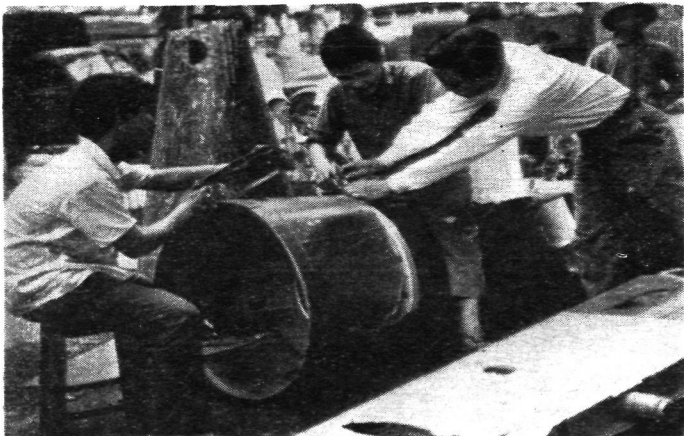
DWÓR ARTUSA W GDAŃSKU, klejnot architektury gotyckiej był zupełnie zniszczony w czasie wojny. Po odbudowaniu służy jako sala wystawowa plastyki. Odbywa się tam obecnie wystawa o życiu i historii Gdańska



PLAŻA NADBAŁTYCKA W MIĘDZYZDROJACH koło Szczecina należy do najpopularniejszych w Polsce, co roku więc tłumnie odwiedzają ją rodacy z całego Kraju i wielu turystów zagranicznych. O plażach bałtyckich i ich złocistych piaskach piszemy na str. 20—21



W TATRACH W SCHRONISKU NA HALI ORNAK przebywa grupa grotolazów z Polski, Jugosławii, Węgier i Bułgarii. Organizują oni szereg wypraw do różnych jaskiń. Ten rodzaj sportu zyskuje w Polsce coraz więcej sympatyków i zwolenników, o czym świadczą odkrycia nowych grot w okolicach Zakopanego, jedne z najgłębszych nie tylko w Europie, ale nawet na świecie



3.038 SAMOLOTÓW AMERYKAŃSKICH ZESTRZELONO NAD WIETNAMEM PÓŁNOCNYM do lipca br. Ci młodzi chłopcy w centrum Hanoi zajmują się wyrobem biżuterii z części amerykańskiego samolotu. Jest ona zaopatrzona napisami: „Wykonano z wraku pirackiego samolotu USA, zestrzelonego nad terytorium Demokratycznej Republiki Wietnamu.” Bombardowania amerykańskie są barbarzyńskie, lecz straty, które ponosi agresor, są ciężkie nawet dla tak wielkiego i bogatego kraju, jakim są Stany Zjednoczone



NIESŁAWNY ODWRÓT Z KHE SANH to tylko jedna z krwawych klęsk, jakie ponoszą najeźdźcy w Wietnamie Południowym. Ta ziemia chce być wolna, obcy mogą w niej wygrzebywać dla siebie okopy, lecz częściej są one ich grobem



„WSTĄP DO AMERYKAŃSKIEGO RUCHU OPORU” — nawoływały plakaty niesione przez demonstrantów w Bostonie, jednym z najstarszych miast USA. Demonstranci protestowali przeciwko skazaniu na 2 lata więzienia wybitnego amerykańskiego lekarza i działacza społecznego dr Beniamina Spooka i jego trzech współtowarzyszy za nawoływanie młodzieży amerykańskiej do uchylania się od udziału w brudnej wojnie wietnamskiej. Zdrowe siły społeczeństwa amerykańskim widzą bezsens, zbrodniczość i bezładność tej agresji, która zhańbiła USA w opinii całego świata



MOŻNA SIĘ ZAPLĄTAĆ a nawet trzeba, jeśli gra się w tę nową grę wymyśloną w Japonii. Wygrywa ten, komu zostanie w ręce najdłuższy kawałek sznurka. Nazywa się ona „zwarłowane sznurki”. Słusznie!



JEDNA Z NICH BĘDZIE „MISS UNIVERS”, choć tytuł ten jest już trochę zdeprecjonowany: różnych konkursów na miss piękności odbywa się co roku na świecie kilkaset. Ale na każdy z nich ściągają bataliony ładnych dziewcząt, więc nie traktując sprawy zbyt poważnie, można w każdym razie z przyjemnością popatrzeć. Te dziewczęta zebrały się w paryskim hotelu Lutetia przed odlotem do Miami na Florydzie, gdzie nastąpił wybór



„UN PETIT COIN DE PARAPLUIE”... To zdjęcie mogłoby być ilustracją do piosenki G. Brassensa. Sami na świecie pod ulewym deszczem — wszystko jest dobre dla zakochanych

Na wakacjach!

ZGODNIE z tradycją oraz życzeniami naszych Czytelników pierwszy numer sierpniowy „Tygodnika” wydajemy jak co roku w podwójnej objętości, za okres dwóch tygodni — jako numer wakacyjny.

Lato, wakacje, urlopy, więc i lekturę przygotowaliśmy nieco lżejszą, w znacznej części rozrywkową. Cóż bowiem najważniejszego w okresie wakacyjnym? Wypocząć! Lekarze, socjologowie, psychologowie coraz większą uwagę poświęcają temu, co bardzo naukowo nazywa się „organizacją czasu wolnego”, czyli po prostu sposobom spędzania czasu po pracy i w okresie wakacji.

Okazuje się, że sprawa nie jest błaha.

Wypoczynek jest bardzo ważny, ale nie mniej ważne jest, jak ten wypoczynek został zorganizowany.

Coraz więcej fachowców uważa, że najlepiej regenerują się siły organizmu nie w zupełnej bezczynności, lecz w wypoczynku czynnym: w czasie wycieczek, przy nie męczących grach sportowych i na spacerach, przy pływaniu, wiosłowaniu itp. Również doskonale wypoczywa się przy zmianie klimatu. Dla zamieszkałych na nizinach śródlądowych — w górach lub nad morzem. I odwrotnie.

Wszystkim naszym Czytelnikom życzymy dobrego wypoczynku, nabrania sił do całorocznej pracy i przyjemnej lektury naszego wakacyjnego numeru!

W NUMERZE

	na stronach:
Francja	3, 5, 6, 15, 16, 25, 26, 27
Polska 1968	9, 10, 11, 14, 29, 39, 40
Polonia w świecie	5—9, 25, 28
Wspomnienia	19, 22, 23, 34, 35
Historia	16—19, 24
II wojna światowa	17, 18, 19, 24
Architektura	23
Technika	14
Folklor	9—11, 39
Krajoznawstwo	39, 40
Kolonie i obozy	5—9, 25
Morze i plaże	20, 21
Wędkarstwo	12, 13, 32
Hippika	22, 23
Sport	30
Tylko dla kobiet	33
Opowiadania	22, 23, 34, 35
Rozrywki i humor	37, 38



Jeden z licznych campingów w polskich Beskidach. Ciesza, spokój, piękno przyrody stwarzają wspaniałe warunki wypoczynku



Janine Rusinek (w chustce na głowie) była już trzy razy w Polsce — dwa razy na koloniach letnich, raz z całą rodziną w odwiedzinach u krewnych. Teraz jedzie po raz pierwszy jako wychowawczyni na kolonie do Kraju. Z inną grupą dzieci wyjeżdża Liliane Boruń-Krzyżaniak (stoi z tyłu w okularach), która jako dziecko jeździła na kolonie letnie do Berck-Plage, organizowane we Francji przez Polski Czerwony Krzyż (zdjęcie z prawej). Odebranie własnego biletu lotniczego (z lewej) jest dużym przeżyciem dla wszystkich dzieci



„MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines
LILLE (Fives)

Siedziba: 199, rue de Paris
LILLE

Telefon: 53-10-03

KONFEKCJA MĘSKA,
DAMSKA I DZIECIĘCA

■ SUKNIE ■ SPÓDNICE
■ SWETRY ■ BLUZKI
■ POPELINY ■ TERGAL

◆ PIERZE ◆ WSYPY ◆
◆ POSZWY ◆ DAMASY ◆

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

LIST DO REDAKCJI

CZY SKORUPKA SIĘ POMYLIŁ?

Szanowna Redakcjo!

W tygodniowej powieści pt. „Kto przy Obrze temu dobrze”, w nr 26(558) autor pisze a propos tego burmistrza ze Święciechowy, iż zbłądził w nocy (bo według tego co ja wiem, to ci panowie zrobili zakład, oczywiście wszyscy pijani, a było ich trzech) to zostało popełnione w okolicy Leszno Wlkp. — Zameczek — Rydzyna. Tam znajdowały się przed wojną tereny wojskowe. Panowie chcieli się dostać na szosę wiodącą do Rydzyny. Była godz. około 24, wartownik ich ostrzegł; dwóch padło plackiem a p. burmistrz nie usłyszał wezwania. Bo trzeba też wiedzieć, iż droga była wolna w dzień, lecz nocną porą zakazana, a wartownik został ukarany.

Przesyłam moc pozdrowień dla całej Redakcji „Tygodnika” stały czytelnik
WŁADYSŁAW SKRZYPEK
Lomme (59)

DIAMENTOWE GODY w AVION

Uroczyste obchodzili 60-lecie zawarcia związku małżeńskiego p. Marianna Kwiatkowska i p. Kazimierz Drzewiecki z Avion. Jubilatki wychowali ośmioro dzieci, które wzięły udział w tej uroczystości. Grono gości tworzyło ponadto 19 wnuków oraz 7 prawnuków. Pan Drzewiecki przybył do Francji z Niemiec w roku 1923. Merostwo ofiarowało Jubilatkom tradycyjne upominki, a grono przyjaciół życzyło tradycyjnych stu lat.

ZŁOTE WESELE pp. ŚRODECKICH

W Houdain na merostwie odbyło się przyjęcie wydane z okazji 50-lecia zawarcia małżeństwa przez p. Środeckiego i p. Strzelewicz. Zastępca mera podkreślił zasługi p. Środeckiego, który od czasu przybycia w 1923 r. do Francji stale zamieszkuje Houdain, gdzie również pracował jako górnik oraz brał udział w pracy społecznej. Tradycyjna lampka wina i toast stu lat zakończył uroczystość, w której obok najbliższej rodziny wzięli udział liczni przyjaciele i towarzysze pracy.

LA BOUTIQUE POLONAISE

25, rue Drouot — Paris 9-e

téléphone: 770-83-37

c.c.p Paris: 189.46-68

zawiadamia swą Szanowną Klientelę, iż sklep nasz jest otwarty podczas wakacji letnich (lipiec—sierpień) i stale posiada na składzie:

- karty pocztowe
- lalki, kasetki, kryształy, nazyjniki z bursztynu, makaty
- stoły i zydle zakopiańskie
- książki, albumy, przewodniki oraz mapy drogowe Polski
- płyty muzyki ludowej i klasycznej nagrane w Polsce i we Francji
- polskie znaczki pocztowe dla filatelistów
- katalogi, klasery

Przyjmujemy prenumeratę pism
Katalogi bezpłatnie

Zamówienia załatwiamy natychmiast



Niech Pani będzie praktyczna
jak Pani mąż i reguluje
swe zakupy czekami



Niech Pan korzysta z
możliwości automatycznego
regulowania różnych rachunków

konto depozytowe
można otworzyć
i korzystać z niego
bezpłatnie w

**CRÉDIT
DU NORD**

AWANS ROBOTNICZEGO OKRĘGU

WGAZETACH krajowych ukazała się wiadomość potwierdzona niemal przez całą prasę emigracyjną, że z nowym rokiem akademickim w Katowicach utworzony zostanie uniwersytet. Będzie to ósmy uniwersytet w Polsce — po Krakowie, Warszawie, Wrocławiu, Lublinie, Łodzi i Toruniu (Lublin posiada dwa uniwersytety: Marii Skłodowskiej-Curie i Katolicki). W tym wliczeniu przytaczamy tylko miasta uniwersyteckie, ale miastami akademickimi z racji posiadania wyższych szkół technicznych, ekonomicznych, medycznych, inżynierskich i artystycznych, są jeszcze w Polsce: Gdańsk, Gliwice, Zabrze, Szczecin, Białystok, Olsztyn, Opole, Częstochowa, Sopot, a ostatnio także Rzeszów i Zielona Góra.

Utworzenie uniwersytetu w Katowicach jest dużym wydarzeniem. Katowice leżą w bezpośrednim sąsiedztwie Krakowa — jednego z najstarszych centrów europejskich nauki i niezbyt daleko od Wrocławia, który jest w tej chwili trzecim po Warszawie i Krakowie centrum uczelnianym i naukowym Polski. Było to okolicznością sprzyjającą przy organizowaniu nowego uniwersytetu. Najpierw otwarto w Katowicach filię Uniwersytetu Jagiellońskiego z Krakowa, która stała się bazą dla nowej uczelni wraz z dwoma innymi wyższymi szkołami miejscowymi — ekonomiczną i pedagogiczną.

Ósmy polski uniwersytet nie startuje więc od zera, oparty jest już na

konkretach organizacyjnych, materialnych, warsztatowych i pedagogicznych. Z drugiej strony fakt bliskości Krakowa i Wrocławia jako ośrodków uniwersyteckich przysparzał Katowicom w staraniach o uniwersytet przeciwników. Z Katowicami o prawo do uniwersytetu konkurowały Gdańsk i Szczecin. Przeciwnicy Katowic mówili: „Przecież młodzież z województwa katowickiego może się z łatwością kształcić na uniwersytetach w Krakowie lub Wrocławiu”. Zabieg i przygotowania do utworzenia uniwersytetu w Katowicach trwały kilka lat.

Słuszna decyzja władz krajowych o przyznaniu Katowicom prawa do uczelni uniwersyteckiej wywodzi się m. in. z faktu, że woj. katowickie jest największym skupiskiem ludności w Polsce, a bezpośrednie sąsiedztwo Katowic stanowi zespół kilkunastu wielkich miast z przewagą ludności robotniczej. Okręg katowicki zwany GOP-em (Górnośląskim Okręgiem Przemysłowym) należy do najbardziej zagęszczonych w Europie obszarów, związanych zresztą wszędzie z przemysłem.

Województwo katowickie według danych na koniec ub. roku posiada 3.565.000 ludności, stanowi to ponad 10 procent całej ludności Polski, a okręg GOP w tym województwie, będący praktycznie jednym wielkim miastem, ma prawie 2.500.000 ludzi.

Województwo to miało dotąd wyższe uczelnie techniczne i ekonomiczne. One w pierwszym rzędzie wynikały z potrzeb tego regionu, kiedy po drugiej wojnie utworzono w Gliwicach Politechnikę Śląską a w Zabrzu Akademię Medyczną, potem zaś wyższe szkoły inżynierskie i ekono-

miczne. Ale już wtedy myślano o uniwersytecie, tworząc jego załączki, realizację zaś odkładając na później. Wszystkiego nie można przecież było zrobić naraz, zwłaszcza że i inne ośrodki Polski wołały o szkoły wyższe.

Uczelnie techniczne, jakie utworzono po drugiej wojnie na Górnym Śląsku, powstały praktycznie z niczego. Nie było tu przedtem nic, na czym można by je oprzeć w sensie naukowego warsztatu pracy. W okresie międzywojennym Górny Śląsk miał w części polskiej zaledwie jedną wyższą szkołę pedagogiczną, w której wykładali profesorowie z innych miast polskich, a w części pozostającej pod władaniem niemieckim — studium dla nauczycieli, które wprawdzie nazywano „szkołą wyższą” (Hochschule), ale które było tylko wyższą szkołą w stosunku do szkół średnich, ale niższą od akademickich.

Niemcy w swojej polityce w odniesieniu do Górnego Śląska przeciwstawiali się zawsze tworzeniu tu wyższych szkół. Jej słuchaczami musieliby być z natury rzeczy synowie miejscowych robotników, a ci w swej podstawowej masie byli Polakami. Rządom Rzeszy zależało, aby proletariát górnośląski, jako proletariát polski, pozostawał pod kierownictwem inżynierów, techników, dyrektorów i ekonomistów niemieckich. Jeżeli zaś chodzi o Polskę międzywojenną, to była ona za uboga, aby zdobyć się dla Śląska na wyższą uczelnię na odpowiednim poziomie.

Trzeba jednak powiedzieć, że stworzono wtedy w Katowicach dużą bi-

bliotekę naukową, która obecnie jako Biblioteka Śląska, należąca do największych tego typu placówek naukowych w Kraju, stanowić będzie jeden z podstawowych warsztatów nowego uniwersytetu zarówno dla jego ciała pedagogicznego, jak i dla słuchaczy.

Bez wielkiej i zasobnej biblioteki naukowej nie ma mowy o dobrej pracy uniwersytetu. Biblioteka Śląska została szczęśliwym trafem uratowana z okupacji i zawieruchy wojennej, choć hitlerowcy zabrali z niej wszystkie kartoteki i katalogi oraz niejedną cenną pozycję z jej zasobów. Po drugiej wojnie Biblioteka Śląska spotkała się z pełnym poparciem władz i z zespołu prowincjonalnego została awansowana do grupy wielkich ogólnopolskich naukowych zbiorów bibliotecznych. Dzięki odpowiedniemu subwencjom jej zasoby zostały kilkakrotnie powiększone i dziś będą służyć uniwersytetowi. Nie bez znaczenia jest też fakt, że Biblioteka Śląska jako placówka humanistyczna skupiała od początku swego istnienia wokół siebie pracowników naukowych związanych z różnymi kierunkami humanistycznymi, którzy dzisiaj bardzo się przydadzą nowej uczelni.

Uniwersytet w Katowicach służyć będzie młodzieży Górnego Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego i Ziemi Częstochowskiej, które stanowią wspólny region ekonomiczny i administracyjny. Utworzenie uniwersytetu jest jeszcze jednym bardzo poważnym wyrazem awansu tej części Polski.



Rysio chciałby być stolarzem. Teraz jednak ciągle bawi się samochodami i wyobraża sobie, że wiezie rodzinę

NA LATO DO POLSKI

PO WOJNIE byli już w Polsce kilka razy, ale w tym roku jadą znów, całą siódmką. Mają nadzieję, że zmieszczą się wszyscy w jednym samochodzie, w DS Citroën, bo większą część ekipy stanowią dzieci.

P. Józef Ławniczak z Guesnain jest górnikiem. Zona jego zajmuje się domem, czwórką dzieci i 65-letnią babcią. Ojciec jej był również górnikiem. Przepracował 45 lat w kopalni i zmarł na pilyce.

Na temat dziejów rodziny powiedzieć można by jeszcze wiele: wojna, 5 lat niewoli p. Ławniczaka, praca p. Ławniczakowej w konspiracji, w szeregach FFI. Po wojnie pracowała p. Ławniczakowa w polskich organizacjach społecznych, pomagała przy urządzaniu uroczystości gwiazdkowych, kolonii letnich dla dzieci.

Rodzice często teraz rozkładają mapę samochodową Polski i ustalają trasę



Cała siódmka już przy samochodzie. Pośrodku Boleś, doskonały skrzypek, jedyny muzyczny członek rodziny

Teraz jednak nie myślą o tych starych historiach. W perspektywie mają podróż do Polski. Chcą spędzić dwa tygodnie w Gdańsku, tydzień w Warszawie, chcą wstąpić do Bydgoszczy. W czasie pięciu poprzednich wyjazdów zwiedzili już niejedno. Dzieci były wówczas młodsze i patrzyły na otoczenie w swój własny, dziecinny sposób. Mimo to zapamiętały wiele; niektóre z ich spostrzeżeń są bardzo charakterystyczne.

Najstarsza, Evelyne, spędzała kiedyś wakacje nad morzem w Stella-Plage. Polskiego morza jeszcze nie widziała i cieszy się, że teraz będzie mogła przez dwa tygodnie kąpać się w Bałtyku i plażować na złocistym piasku Gdańskiego Wybrzeża. Evelyne jest zaręczona. Za kilka miesięcy ma być jej ślub. Kiedy była w Kraju, obserwowała, jak odbywają się śluby polskie.

Zauważyła, że w kościele, zaraz po zakończeniu ceremonii ślubnej, państwo młodzi całują się przed ołtarzem, w obecności księdza.

— Dlaczego tego samego zwyczaju nie ma we Francji? — pyta Evelyne. — To bardzo piękny zwyczaj!

Najmłodszy Rysio, który skończył w tym roku Cours Elémentaire II i liczy sobie dopiero 11 lat, był już w Polsce gdy miał 4 lata. Pamięta z Warszawy wielką pływalnię, do której chodził w upalne dni. Zapamiętał również, jak przy zwiedzaniu Pałacu w Łazienkach nakładano mu wielkie, ledwie trzymające się na jego małych bucikach pantofle z tasiemkami, które wydaje się w szatni muzeum wszystkim turystom, aby nie niszczyli zabytkowych posadzek, zachowanych z czasów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Claudine Ławniczak opowiada z powagą 14-letniej dziewczynki o pięknej architekturze toruńskich kościołów, które zwiedzała wraz z całą grupą młodzieży przed paroma laty. Zapamiętała również — oczywiście — i smak doskonałych toruńskich pierników, a z jeszcze innej wycieczki — kopalnię w Wieliczce i posągi rzeźbione w soli.

Bolek jest sportowcem. Zwrócił uwagę na imponującą skocznię narciarską na Krokwi w Zakopanem, na pływalnię w warszawskim Pałacu Kultury, na pływalnię w Mikuszowicach i w innych miastach. Potrawy polskie smakowały mu również bardzo, szczególnie bigos. Ale siostry przekomarzają się z Bolesiem, że gdy był w Polsce, zwracał uwagę przede wszystkim na piękne panny.

Najbardziej męcząca będzie podróż dla babci. Pani Plutowa ma już 65 lat. Mimo to jedzie do starego Kraju z wielką chęcią. W czasie podróży poważnie śpi i wtedy czas mija najszybciej. Zresztą w czasie jej 45-letniego pobytu poza granicami Polski myśl o odwiedzinach rodzinnych stron była dla niej zawsze najbardziej nęcącą myślą ze wszystkich.

Moment wyjazdu zbliża się. Już niedługo czerwona DS państwa Ławniczaków wyruszy z czarnego Nordu w stronę polskiego Wybrzeża. Wszyscy żyją nadzieją, że pobyt tegoroczny będzie udany i pozostawi całej rodzinie wiele miłych wspomnień.



Claudine w br. zdała CEP i przygotowuje się do zawodu sekretarki. Interesuje się architekturą i rzeźbą



Evelyne rozstanie się na miesiąc z narzeczonym. W czasie pobytu w Polsce będzie pewnie znów obserwować śluby

Babcia nie boi się długiej podróży samochodem. Perspektywa zobaczenia Polski wynagradza jej wszelkie trudy



Na koloniach wakacyjnych w Kraju bawi młodzież Polonii zagranicznej z 10 krajów europejskich i z Kanady. Łącznie ponad 1000 młodych chłopców i dziewcząt, którzy spędzają wakacje razem z młodzieżą krajową.

Młodzież z Kanady przybyła „Batorym” do Gdyni, a stąd autokarami do Torunia; dzieci z Francji samolotami z Paryża, Metz, Lyonu i Lille, wylądowały w Warszawie, Poznaniu i Wrocławiu. Na lotnisku Krakowa osiadły samoloty z Düsseldorfu z młodzieżą polską z NRF, ze Sztokholmu z częścią młodzieży ze Szwecji i Norwegii oraz z Brukseli z dziećmi polskimi z Belgii. Młodzież z Anglii przyleciała z Londynu do Wrocławia. Druga grupa szwedzka przypłynęła promem z portu Ystad do Swinoujścia a stąd ekspresem „Wawel” udała się do Krakowa i dalej autokarami do Bukowiny Tatrzańskiej.

Młodzież z Czechosłowacji przyjechała autokarami do Katowic, skąd samolotem do Gdańska, by wypoczywać nad morzem. Również młodzież ze Szwajcarii, która przyleciała z Zurychu do Warszawy, udała się nad Bałtyk. Jedynie grupa z Zachodniego Berlina przybyła pociągiem do Krakowa i stąd w góry.

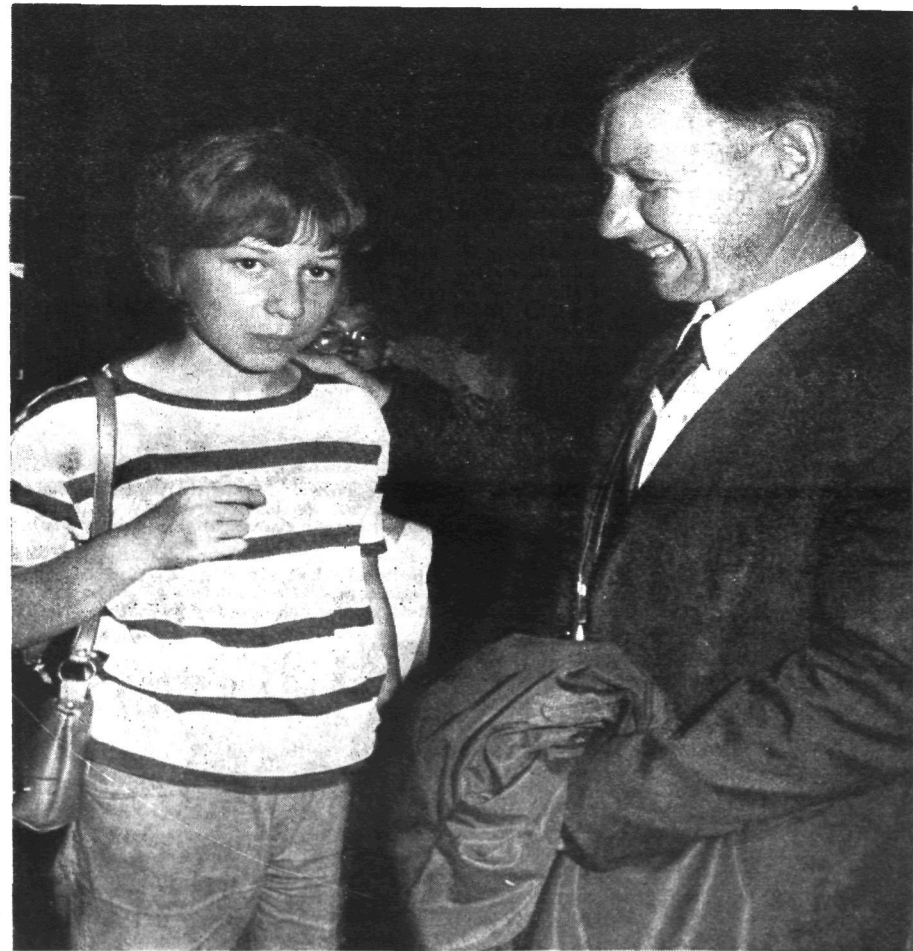
Ogółem młodzież polonijna wypoczywa, bawi się i poznaje Polskę w 17 ośrodkach kolonijnych.

Do widzenia do widzenia jedziemy!

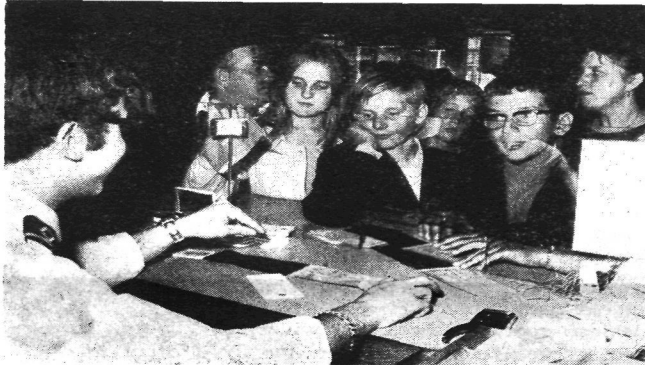
TEGO dnia był to już drugi samolot specjalny, którym z paryskiego lotniska Le Bourget odlatywały dzieci na kolonie letnie do Polski. Rodzice, rodzeństwo, krewni przyjechali z dziećmi. Nie codziennie się przecież zdarza, że taką podróż właśnie ci najmłodszy z rodziny mogą odbyć samolotem. To już pierwsza atrakcja krajowych kolonii. Ostatnie rady starszych: „Uważaj na siebie! Pozdrów babcię! Napisz od razu!” i dzieci przechodzą do poczekalni, a za chwilę do samolotu. Na tarasie portu lotniczego wypatrują rodzice swoich pociek, machają chusteczkami i oto samolot Polskich Linii Lotniczych LOT zostawia za sobą pas startowy i wzbija się w niebo.

W ten sposób rozpoczęła się kolonijna przygoda około 700 dzieci Polonii francuskiej.

Sylvie Patan z departamentu Loire, którą odprowadził na lotnisko ojciec, jest bardzo przejęta. Po raz pierwszy podróżować będzie samolotem



Dzieci z okręgu paryskiego i Calvadosu na lotnisku Le Bourget przed odlotem na kolonie do Polski. Po co nosić torby podróżne, można ułożyć je na wózku i zabawić się przy tym wesoło!



Dzieci z Calvadosu na podstawie biletów otrzymują karty wstępu na płytę lotniska. Zaraz odlecą do Polski



P. Misztak z Paryża oraz p. Małecka z Troyes sprawdzają dokumenty swych pociek przed odlotem do Polski



Wszystkie formalności załatwione na lotnisku. Dzieci czekają na odlot

Dzieci z Persan i Beaumont otrzymują ostatnie rady. Pierwsi od prawej: Geroges i Martine Wojtkowiak z Persan. Wszyscy się cieszą na tę podróż



NA BALICKIM LOTNISKU

22 LIPCA — był dla krakowskiego portu lotniczego w Balicach dniem dużego natężenia ruchu. Obok normalnych samolotów kursowych, opadały na pasy startowe samoloty specjalne. Wśród nich te z Brukseli i z Lille, wiozące na miesięczny wypoczynek w Kraju dzieci polskie z Belgii i Francji. Pracownicy lotniska zdawali się nie sprostować, że dzień jest wyjątkowo wietrzny. To tylko w nas, lądowych szurach, rozdziło się natrętne pytanie: czy aby przylecą punktualnie? Różni niepokój oczekiwania. Niepotrzebnie.

Godzina 11.20. Zgodnie z zapowiedzią na płycie lotniska zatrzymuje się II-18. Już są! Milknie warkot silników. Coraz wolniej obracają się śmigła. Jeszcze chwila. Podjeżdżają schodki i zaraz w otwartych drzwiach ukazują się stewardessa, za nią pan w średnim wieku z teczką w ręce: wicekonsul PRL w Brukseli — HENRYK LAMPASIAK, który osobiście przywiozł grupę 74 dzieci z rejonu Liège, Limburgii, Charleroi, Mons i Centre oraz jedenastkę z północnofrancuskiego Lille. Nic dziwnego, przecież od wielu już lat zajmuje się akcją kolonii i obozów letnich dla dzieci — z polskich rodzin zamieszkałych poza granicami Kraju. Wkłada w nią tyle serca.

Nie każdy jednakowo dobrze znosi dwugodzinny lot. Przy tym — to przecież dopiero pierwszy etap drogi. Z Krakowa do Wisły i Mikuszowic w woj. katowickim oraz do Sławęcic w woj. opolskim, trzeba jeszcze dojechać autobusami. Dlatego na lotnisku nie ma uroczystych powitań, chociaż wszyscy witamy tę młodzież z ogromną radością, chociaż pragniemy, aby od pierwszej chwili czuła się wśród nas jak w gronie najbliższych.

Powitania — te oficjalne — odbędą się na miejscu: w Wiśle, Mikuszowicach, Sławęcicach, gdzie czekają już dziewczęta i chłopcy z Polski. Tam będą słowa, które już tu cisną się na usta, uroczyste wciągnięcie flag na maszty, upominki, wspólnie śpiewane piosenki. Teraz gościnność to pośpiech.

Szybko więc, kto chce, wymienia przywiezione pieniądze na złotówki. Szybko porucznik Jan Grabek i sierżant Tadeusz Mazurkiewicz z granicznej placówki kontrolnej WOP załatwiają formalności paszportowe. Następnie przejście dzieci do hallu. Tu odbywa się spotkanie z czekającymi kierownikami obozów i kolonii, podział na grupy i załadunek do autokarów. Dziewczęta — wiadomo — pojadą z p. Jolaną Nieciecką do Wisły-Głębiec. Młodszy chłopcy do Sławęcic, a starsi do Mikuszowic. Jedni — jak IRKA JANSSEN z *Mechele*, która w zeszłym roku była na kolonii we Wroniawach koło Poznania i wspomina



ten pobyt doskonale — wiedzą, jak to tam będzie. Inni, którzy jeszcze nie spędzali wakacji w Polsce, są wszystkim ciekawi, pytają. Może właśnie dlatego dzieci przypominają w tej chwili pszczele roje?

Godzina 12.30. Sledzimy z wicekonsulem Lampasiakiem odjeżdżające autobusy. Zdrowego wypoczynku, dobrej zabawy i wielu nowych przyjaciół.

Takim samym życzeniem żegnamy udającą się właśnie samolotem Lille następną grupę młodzieży z tamtego rejonu: harcerzy z Tarnowskich Gór i Bytomia. W ramach akcji „Malta 68” wraz z trójką swych opiekunów: kierownikiem drużym Tadeuszem Jaroszem, lekarzem dr Szczepanem Twardochem i instruktorką-tłumaczką Stanisławą Kantorowicz, spędzą dla odmiany miesiąc wypoczynku w Voisier. Przygotowali dla swych przyszłych kolonijnych kompanów z Francji niespodziankę: 22 lipca, z okazji święta narodowego, pragną zorganizować „Dzień Polski”. Uroczystość, program artystyczny i ... obiad z harcerskiego kotła. Powodzenia!

Kiedy wieczorem o 20.20 powraca samolot z Lille wioząc na swym pokładzie znów ponad 80 młodych pasażerów, zapada już szary zmrok. W samolocie, na płycie lotniska i w budynku portu płoną światła. Odprawa paszportowa i załadunek do samochodów muszą więc odbyć się jeszcze szybciej. Reporterski pech. Niewiele jest bowiem czasu na rozmowę, chociaż chciałoby się zadać tyle pytań. Np. ALICJI MATEJKO, studentce historii i geografii uniwersytetu w Lille, która — opiekując się tą grupą — ma jednak w tej chwili ważniejsze zajęcia. Ale oto kierownik mikuszowickiego obozu letniego dla chłopców, Eugeniusz Szpyt wita się serdecznie z wysokim chłopcem.

To szesnastoletni RYSIEK WIŚNIEWSKI z *Pecquencourt* (Nord), który w Mikuszowicach spędził już zeszłoroczne wakacje. A więc drugi raz w Polsce? Ach, nie. Już czwarty! Był już i na kolonii w Bardo Śląskim i u rodziny w Brzegu. Również młodszą siostrą Rysia zna już Polskę. Ryś Wiśniewski wie, że nie będzie się nudził na mikuszowickim obozie. Spodziewa się też spotkać na nim z dawnymi kolegami.

I tym razem następuje podział na trzy grupy. Dwie — jak poprzednio — jadą do Wisły i do Mikuszowic. Trzecia — obóz harcerski organizowany w pięknym Parku Kultury i Wypoczynku, między Chorzowem a Katowicami. Uczestników obozu, jak się dowiadujemy od drużym Marty Chmury z chorągwi ZHP Katowice, czeka tygodniowy pobyt w Chorzowie połączony ze zwiedzaniem. Następnie dwa tygodnie spędzone na różnych obozach pod namiotami i znów tydzień w Chorzowie. Przewidziano też zwiedzanie Warszawy, Oświęcimia i uroczystych górskich okolic Beskidu.

Zresztą każda kolonia i obóz dla młodzieży polonijnej z zagranicy ma również obeszny program zwiedzania. Każda więc da możliwość wzbogacenia zasobów wiedzy o Polsce, poznania jej historii i dnia dzisiejszego, dostrzec jej piękno. Grupie przybyłej z Belgii pozwoli to niewątpliwie z tym większym zrozumieniem i uczuciem dumy obchodzić organizowane we wrześniu w Gandawie uroczystości wyzwolenia miasta przez 1 Dywizję Pancerną, odsłonięcia odznaki lotników polskich na pomniku znajdującym się na cmentarzu w Lommel. A wszystkim powinna przynieść nowe przyjaźnie, mnóstwo wrażeń i zdrowie. Bardzo na tym organizatorom i opiekunom zależy. Bardzo zależy nam wszystkim.

DANUTA JAKUBIEC



„BATORYM” z KANADY

NIE MA krzty przesady w twierdzeniu, że „Batory” jest częścią Polski. Doświadczyły tego dzieci polskie z Kanady, które przybyły do Kraju na polskim transatlantyku.

Wszyscy marynarze z oficerem rozrywkowym, p. Erykiem Kulmem i stewardem p. Józefem na czele, nie tylko byli dla nich niezwykle serdeczni, ale stale rozmawiali z nimi o ojczystym Kraju i poprawiali zdarzające się tu i tam mylne pojęcia o Ojczyźnie.

„Batory” stał się dla kanadyjskich dzieci nawet szkołą języka polskiego, którego uczył ich dobrowolnie przez całą podróż płynący do Polski p. ROBERT STRYBEL, wykładowca polonistyki na uniwersytecie w Detroit. Zresztą z nauką nie było specjalnych kłopotów, gdyż na 30 chłopców i dziewcząt, jacy przybyli z Kanady na kilkutygodniowy pobyt w Polsce, jedynie troje nie władało językiem ojczystym.

Inne dzieci świetnie sobie dawały z nim radę, chociaż tu i tam wplątały się do polskich zdań słowa francuskie czy angielskie. Rodzice niektórych dzieci zamieszkali w Kanadzie przed wojną, innych stosunkowo niedawno. Ojciec ANATOLA WITASZEWSKIEGO jest z zawodu mechanikiem i w Toronto zamieszkał w 1959 roku. Ojciec ELŻBIETY LODKOWSKIEJ z Toronto pracuje tam od kilkunastu lat jako elektryk.

Cała grupa spędzi 20 dni na kolonii w Toruniu, a po 10-dniowej autokarowej wycieczce wzdłuż i wszerz Polski uda się do krewnych w Kielcach, Krakowie, Częstochowie i Warszawie.

ZDZISIO SZYPULEWSKI z Montrealu, mieszkający w Kanadzie dopiero od 4 lat, zamierza odwiedzić swą rodzinną wioskę *Stare Juchy* koło Elku na Mazurach. Pamięta ją dobrze. Na pytanie, gdzie chciałby mieszkać, odpowiada bez wahania: — Lepiej czułbym się w Polsce, rodzice też myślą wracać.

Bardzo mało natomiast mówił po polsku WANE LEWCZUK z Windsor. Rodzice jego mieszkają w Kanadzie już 25 lat i rozmawiają w domu jedynie po angielsku. — Bardzo chciałbym nauczyć się mówić po polsku — wyznaje szczerze. Może uda mi się to u krewnych w Gdyni i w Warszawie.

Na portowym nabrzeżu marynarska orkiestra gra oberka. Ciekawie słuchają tej starej ludowej melodii dzieci z Fort Williams, Port Artur, Toronto, Windsor, Montrealu i ich okolic.

A. M.





KIEDY ucichły silniki i rozwarły się drzwi samolotu, wysypali się gromadką. Na życzenie fotografa prasowego szybko ustawili się pod sterami „Antonowa”, a potem rozeszli się, ciekawie rozglądając się dookoła. W dali za płaszczyzną lotniska widać było białe, wysokie domy „PRZYMORZA”, najnowocześniejszego osiedla mieszkaniowego Gdańska, a na prawo, za kreską niskiego lasu, ginące w parnym powietrzu morze.

Wtedy na gdańskim lotnisku mieli tylko jedno życzenie: wykąpać się w Bałtyku, zobaczyć prawdziwy, wielki statek, port i stocznię. Wszystko to na pewno zobaczą — będą przecież przebywać nad morzem przez pełne dwadzieścia dni oraz obejrzą Elbląg, zamek malborski, Gdańsk i Gdynię. Chociaż chłopcy zamieszkali w szkole na ul. Aksamitnej w Gdańsku, a dziewczynki w Gdyni na ul. Kieleckiej, jednak przez cały czas będą się spotykać na wspólnych

DZIECI Z CZECHOSŁOWACJI

Przybyło ich do Gdańska piętnaścioro — 3 dziewczynki i 12 chłopców z polskich rodzin w Czechosłowacji, głównie z okolic Czeskiego Cieszyna i przemysłowych okolic Trzyńca. Coś do siebie wołali twardą gwara śląską, fotografowali nawzajem, wyciągali ręce w kierunku morza, roześmiani i ucieszeni spotkaniem z polskim Morzem Bałtyckim. Dla niektórych z nich nie było to pierwsze spotkanie.

W Ustce przed kilku laty przebywał już na wakacjach JAN RUSNOK z Cieszyna, w Świnoujściu był ADAM CIECIOŁA, jednak morza nigdy w życiu nie widziała ani córka pracownika huty w Trzyńcu URSZULA MAJNKA, ani JERZY KWAŚNY.

wycieczkach, zabawach i odwiedzinach. Mieszkają z rówieśnikami z Polski — młodzieżą z Liceum Ogólnokształcącego w Elblągu i Tczewie, której przedstawiciele przybyli na lotnisko, by kwiatami powitać kolegów z Czechosłowacji.

Niektóre dzieci — bywa tak często w zadymionych osiedlach górniczych — wyglądały nie najlepiej, były wychudzone, blade, fizycznie słabo rozwinięte. Nadmorskie powietrze, słońce i woda na pewno pobudzą ich organizmy, a kilkutygodniowe spotkanie z Krajem umocni ich poczucie narodowe i więź z nową, coraz bogatszą Polską.

A. M.

SPOD ALP NAD BAŁTYK

NA DZIECI polskie ze Szwajcarii oczekiwano na gdańskim lotnisku kilku chłopców z kwiatami oraz dwaj wychowawcy — p. EDWARD DZIĘNTARA z Gdańska i p. MARIAN ZAWADZKI, nauczyciel ze szkoły w Potigny (Calvados), który przybył do Gdańska z grupą 45 polskich dzieci z Francji. Dzieci ze Szwajcarii będą mieszkają na kolonii razem ze swymi kolegami z Francji, Kanady, Czechosłowacji oraz z Polaki.

Roześmiane, machają ku nam rękami, przedstawiają się. Oto dwa rodzeństwa: AGNIESZKA i JERZY OSOWIECCY oraz ANDRZEJ i MICHAŁ STEFANIAKOWIE — wszyscy z Neuchatel; oto IRENA DEBRONNER i MONIKA STATLER z Zurychu oraz KAROL KRAJKA, JAN-MAREK PIZZERO i JAMES JUAN z Neuchatel.

Prawie wszystkie — po polsku mówią bardzo słabo, porozumiewamy się więc w języku francuskim lub niemieckim. Inteligentne, dobrze ubrane, wyraźnie są skrepowane nieznajomością ojczystego języka i tłumaczą mi, że w Szwajcarii bardzo mało stykają się z Polakami. Wiedzą, że Gdynia jest portem, że Polska ma dużą flotę handlową — ale jak nazywają się polskie porty — tego nie potrafią powiedzieć.

Najpewniej z językiem polskim czują się Agnieszka i Jerzy Osowieccy, którzy na podobnej kolonii byli już w ubiegłym roku w Świdrze pod Warszawą. Czy byli zadowoleni? — Oczywiście — odpowiadają zgodnie — dlatego przyjeżdżamy po raz drugi.

Inne dzieci też wiele sobie obiecują po tegorocznych wakacjach. Stocznie, porty, statki — owszem, chcieliby wszystko zobaczyć, ale nade wszystko interesuje ich Kraków.

Dlaczego?

— Bo to najstarsza stolica Polski — mówią. I bardzo piękne miasto.

Ucieszyły się, kiedy powiedziałem im, że na pewno zobaczą Kraków i inne równie piękne polskie miasta.

AM



CZY ODNOWIŁEŚ PRENUMERATĘ
„TYGODNIKA POLSKIEGO”
ZA DRUGIE PÓLROCZE?

FOTOREPORTAŻE Z POBYTU
NASZYCH DZIECI

NA KOLONIACH I OBOZACH

w następnych numerach

„TYGODNIKA POLSKIEGO”



PROMEM DO ŚWINOUJŚCIA



W tym roku dziewczęta jadą do Bukowiny Tatrzańskiej, chłopcy do Zakopanego, a więc jeszcze tylko parę godzin będą razem. Na zdjęciu od lewej: Kalle Bialous, Tomasz Tkacz, w górze nad dziewczynkami miła i sympatyczna twarz Andrzeja Kuroczyńskiego

CAŁY TYDZIEŃ była piękna pogoda. W nocy niebo lśniło gwiazdami. Nikt nie przypuszczał, że od rana będzie lał deszcz. Stoimy więc pod parasolem w porcie w Świnoujściu i czekamy na prom ze Szwecji. Spoglądamy na zegarki — jest godzina siódma. Prom powinien już dopływać — i otóż z porannej mgły wynurza się sylwetka „Gryfa”. Przycumował do molo, po chwili otworzył swój wysoki dziób, spod którego zaczęły wyjeżdżać samochody. Przyniesiono trap do burty promu i za moment wysypała się gromadka dzieci.

To na pewno one! Niosą podręczne bagaże, mimo paskudnej pogody — roześmiane. Witają ich nowi opiekunowie, którzy zawiozą dzieci na kolonie, witają też przyszłych przedstawicieli „Tygodnika Polskiego”, cała gromadka jest zaskoczona, że mimo deszczu robimy im zdjęcia.

Krótkie pożegnanie z wicekonsulem, przedstawicielem Ambasady Polskiej w Szwecji, który opiekował się dziećmi w drodze z Ystad do Świnoujścia, po czym wszyscy jadą na dobre śniadanie. Trzeba

Jak na jeden raz — przygód masa: najpierw przepłynęli promem przez Bałtyk — teraz pojedą pociągiem przez całą Polskę. Zmęczeni po nich nie widać, a dobry humor nie opuszcza nikogo z przybywających do Kraju



jednak przepłynąć przez portowy kanał, aby dostać się do centrum Świnoujścia. Na promie dzieciaki są zdziwione, że przejazd przez kanał nic nie kosztuje. Opiekunowie tłumaczą, wyjaśniają, jednak dzieciom trudno jest zrozumieć, że można płynąć promem bez grosza w kieszeni.

Na śniadaniu apetyty dopisały. Sznka i jajecznica z talerzy zniknęły błyskawicznie.

Z rozmowy z Andrzejem KURO-SZYŃSKIM dowiadujemy się, że ma lat 12 i od urodzenia mieszka w Szwecji w Eshör. Ojciec Andrzeja pracuje w fabryce. Andrzej już był w Polsce, pokazuje nam teksty polskich piosenek, opowiada, jak uczył inne dzieci śpiewać te piosenki w szwedzkiej szkole w Eshör.

Długowłose Kalle BIALOUS mieszka w miasteczku Landskrona. W ubiegłym roku był już w Polsce na koloniach w Radości pod Warszawą. Teraz cieszy się, że jedzie w góry do Zakopanego. Mówi, że jego ojciec jest warszawiakiem, podczas okupacji hitlerowskiej został wywieziony do Niemiec na roboty. Matkę Kalle'a spotkał gorzki los, znalazła się bowiem w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Po wojnie spotkali się w Niemczech, a później zamieszkali w Szwecji.

Tomasz TKACZ mieszka też w Landskronie. Dobrze znają się z Kallem Bialousem, są „starymi” kumplami. Tomasz też był już w Polsce w Ciechocinku, gdzie mu się bardzo podobało. Mówi, że mieszkając na stałe w Szwecji, nie zapomina nigdy o Polsce. Ojciec obecnie pracuje w stoczni. Rodzice Tomasa pochodzą z Katowic i tak jak w innych przypadkach — poznali się po wojnie na zachodzie Europy, gdzie ich rzuciła zawierucha wojenna.

Pociąg do Zakopanego został podstawiony. Żegnamy więc dzieci, życząc im dużo słońca, dobrego odpoczynku i obiecujemy przesłać parę egzemplarzy „Tygodnika Polskiego”. Pociąg rusza powoli, później przyspiesza, okna wagonu, w których żegnały nas uśmiechnięte twarze nikią w oddali. Dyżurny ruchu, zwracając się do nas mówi:

— Bardzo miłe dzieciaki!

Tak, to prawda, serdeczne i dobrze wychowane...

KP



Na razie przewaga Dzierżążna Wielkiego. „Czy są protesty?” — pyta jury. Teraz konkurs motocyklistów i Dzierżążno Małe, wygrywając, odrabia stratę

SĄSIEDZKIE ZMAGANIA

TURNIEJE jako widowiska rycerskiej sprawności mają w Polsce tradycje kilkusetletnie. Przed kilku laty wznowiono je z przeróbką na modłę XX wieku — jako zmagania miast w ramach kilkogodzinnych relacji telewizyjnych — o czym na łamach „Tygodnika Polskiego” donosiliśmy w obszernych fotoreportażach dwukrotnie — o walce Cieszyna przeciwko Tarnowskiemu Górom oraz o turnieju polskiego Zakopanego ze słowackim Smokowcem. Odnowiona tradycja chwyciła i spłynęła w dół do powiatów i wsi. Dziś odbywa się w Polsce co roku kilkaset sąsiedzkich zmagania. Jest to połączenie folklorystycznego festynu, zawodów sportowych oraz pokazu umiejętności technicznych, bez których trudno dziś żyć na polskiej wsi. Nasz fotoreporter pokazuje szlachetną walkę Dzierżążna Małego z Wielkim w trzciańskim powiecie Wielkopolski.

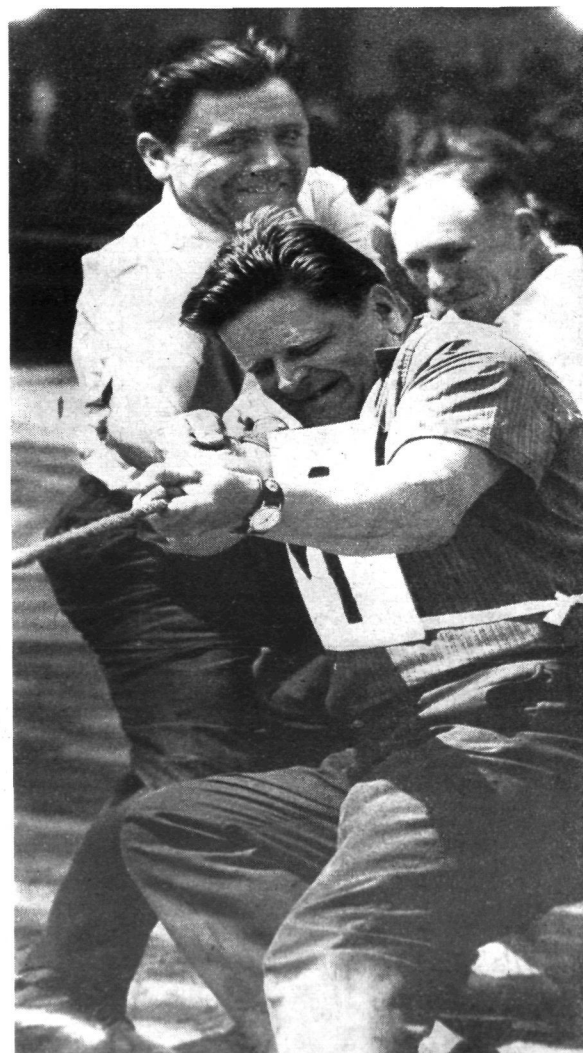
POCZĄTKOWO zanosiło się na walkę Dawida z Goliatem, tak przynajmniej sądzili ci, którzy znali obie wsie — Dzierżążno Małe i Wielkie. Bo Wielkie naprawdę jest duże, dwa razy większe od Małego. Ale dla tych, którzy znali młodzież Dzierżążna Małego, sprawa nie była wcale tak oczywista.

Bo Dzierżążno Małe miało już od pewnego czasu „dobrą prasę” wśród władców powiatu i co najważniejsze — prasę uzasadnioną. Wszelkie prace społeczne tu wykonywano zawsze przed terminem i przeważnie ponad zaplanowane ilości, przez dwa lata z rzędu właśnie Dzierżążno Małemu przypadło w udziale I miejsce w stałym konkursie powiatu trzciańskiego pod nazwą „Wzorowa wieś — wzorowy sołtys”, a VI miejsce wśród kilkuset wsi w tym samym konkursie w skali całego województwa poznańskiego.

Pomysł zorganizowania turnieju z dużym imiennikiem powstał wśród młodych mieszkańców Dzierżążna Małego jeszcze wczesną wiosną w czasie „topienia Marzanny”. Koła Związku Młodzieży Wiejskiej obu wsi zorganizowały wtedy to wiosenne święto na zasadzie — które lepiej. Spodobało się i wtedy któryś z odważnych — bodajże kierownik szkoły a jednocześnie przewodniczący Koła ZMW w Dzierżążnie Małym — Czesław Górecki zaproponował:

— A może by tak za przykładem telewizyjnego turnieju miast zmierzyć siły z Dzierżążnem Wielkim?

Dzierżążno Małe ciągnie linę ku sobie. Nauczyciel, prezes spółdzielni, kierownik punktu skupu, działacze ludowi — wspólnym wysiłkiem demonstrują, że Małe, bo małe, ale silne ich wioszczysko



Dokończenie na str. 10

Pomysł złapali jak diabeł duszę święconą.

— Kiedy?

— Najlepiej na Zielone Świątki. Na święto ludowe.

Dzień był piękny, upalny, gdy na placu przed sklepem spółdzielni stanęły dwie drużyny. Można powiedzieć, że cały miesiąc wszystkie wolne chwile wypełniły w obu wsiach eliminacje o prawo założenia białego „numeru startowego” z literą „M” lub „W”, o prawo reprezentowania swej wsi w sąsiedzkich zmaganiach.

Konkurencja była przebogata — pierwsze dyscypliny rozegrano już przedtem, np. czyn społeczny wzbogacił Dzierżąno Wielkie o piękny gazon kwiatowy, zaś Dzierżąno Małe o kilkadziesiąt metrów nowego betonowego chodnika. Ale clou programu miało nastąpić właśnie teraz.

Warunki turniejowego współzawodnictwa dobrano tak, aby obok tradycji znalazły w nich pełne odbicie zmiany, które ostatnio zaszły w obliczu polskiej wsi, zmiany wielkie: techniczne i społeczne. A więc obok tradycyjnych gawęd o swej wsi, również konkursy rysunkowe młodzieży i piosenki o sobie, tworzone przez miejscowych melomanów. Zaraz po starzym „polu do popisu” dla osiłków — przeciąganiu liny, nastąpił dowód zrównania w prawach kobiet i mężczyzn — konkurs w obieraniu ziemniaków przez zażywnych gospodarzy. Obok starej jak świat konkurencji piłowania drzewnego pnia, zmiana „na czas” koła u traktora, czy też sprawnościowy przejazd motocyklem z pełną szklanką wody w ręku, gdzie za każdą uronioną kroplę odliczano punkty.

I tak walczone twardo ze zmiennym szczęściem przez 6 godzin na wydeptanym placu Dzierżąno Małego w kręgu kilkudziesięciu widzów, która tu zjechała z całego powiatu.

Nie pomogło „własne boisko” i doping własnej publiczności. Po zaciętej i miejscami dramatycznej walce, mimo ambicji młodzieży Dzierżąno Małego, musiało ono ulec sąsiadom z wioski dwukrotnie od niego większej. I choć w zawodach kolarskich, we współzawodnictwie wiejskich drużyn sanitarnych, w szybkości gaszenia pożaru — Dzierżąno Małe wygrało, inne konkurencje, jak to niesławne męskie obieranie kartofli, picie lemoniady przez smoczek i wyścigi dzieci w workach, przechylili szalę zwycięstwa na korzyść Dzierżąno Wielkiego różnicą 9 punktów — 75 : 66.

Ale tylko do przyszłego roku. Na następne Zielone Świątki — rewanż.

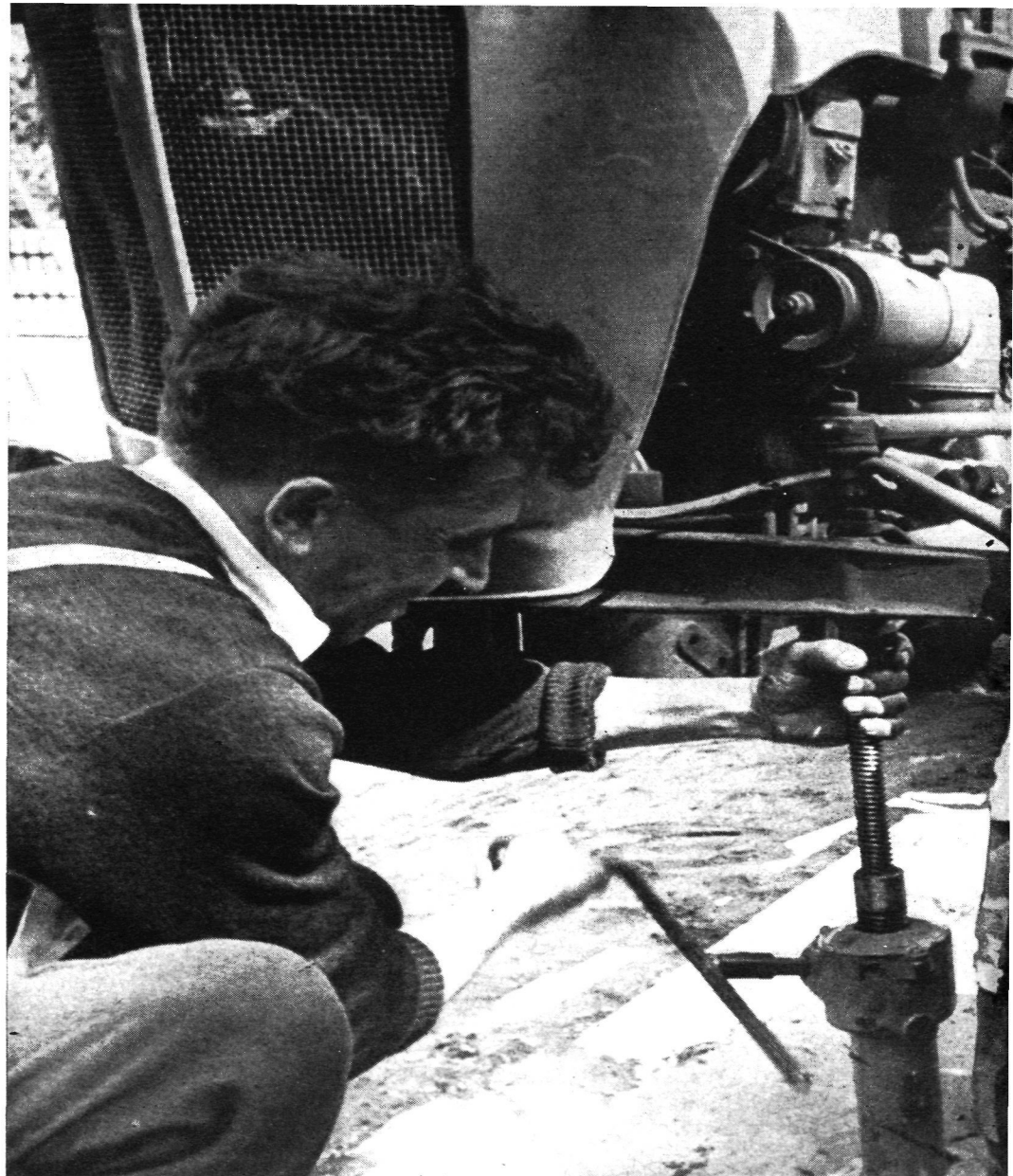
Cezary CHLEBOWSKI

Piosenkę o swej wsi gra się tu i śpiewa według własnej melodii, własnych słów, własnymi instrumentami i własnego układu melodycznego. Skład zespołu — jak często dziś na polskiej wsi: z lewej rolnik, członek strażackiej orkiestry, z prawej student Konserwatorium, który specjalnie przyjechał z Poznania, by wspomóc swoich

„Ale z tego Felka to lebiega” — patrzą z dezaprobatą koledzy na pomylone skoki w worku najmłodszego reprezentanta ich własnej wsi

„Chłopcy, nie dają się. Co to, na darmo chleb jecie? Ciągnąć mi tę linę, a krzepko” — wołają baby, chłopcy i dzieci, by zdopingować swą drużynę

Choć droga jest „urozmaicona”, najlepszy z Dzierżąno Małego, wyłoniony spośród kilkudziesięciu posiadaczy motocykli z całej wsi, daje sobie świetnie radę z przewiezieniem napełnionej wodą szklanki



SĄSIEDZKIE ZMAGANIA

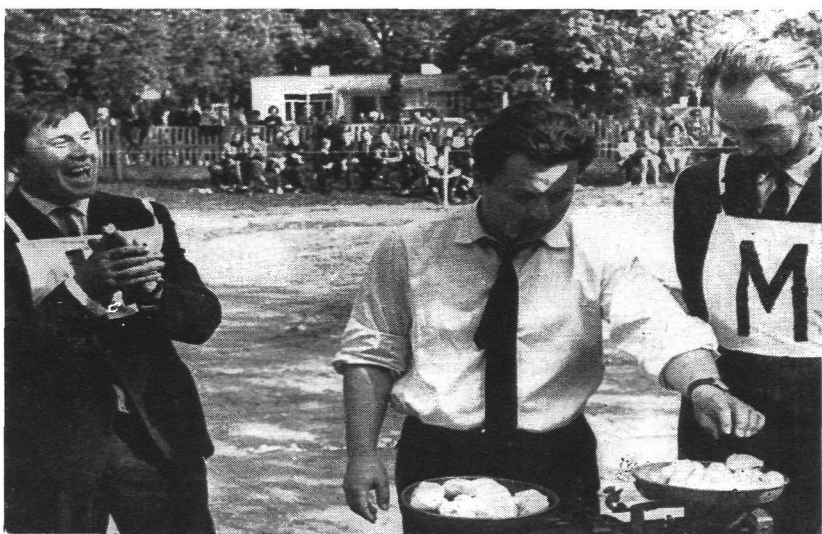
Na treningach szło lepiej. Dziś nerwy zżerają zawodnika. Było tylko nie stracił rytmu i do mety





Piła chodzi lekko w doświadczonych rękach. Nic dziwnego — w trzciańskiej okolicy drzewo piłuje się od setek lat, z pokolenia na pokolenie

„Zwycięstwo!” Tym okrzykiem reprezentant Dzierżazna Wielkiego anonuje ziomkom wygranie konkursu męskiego obierania kartofli

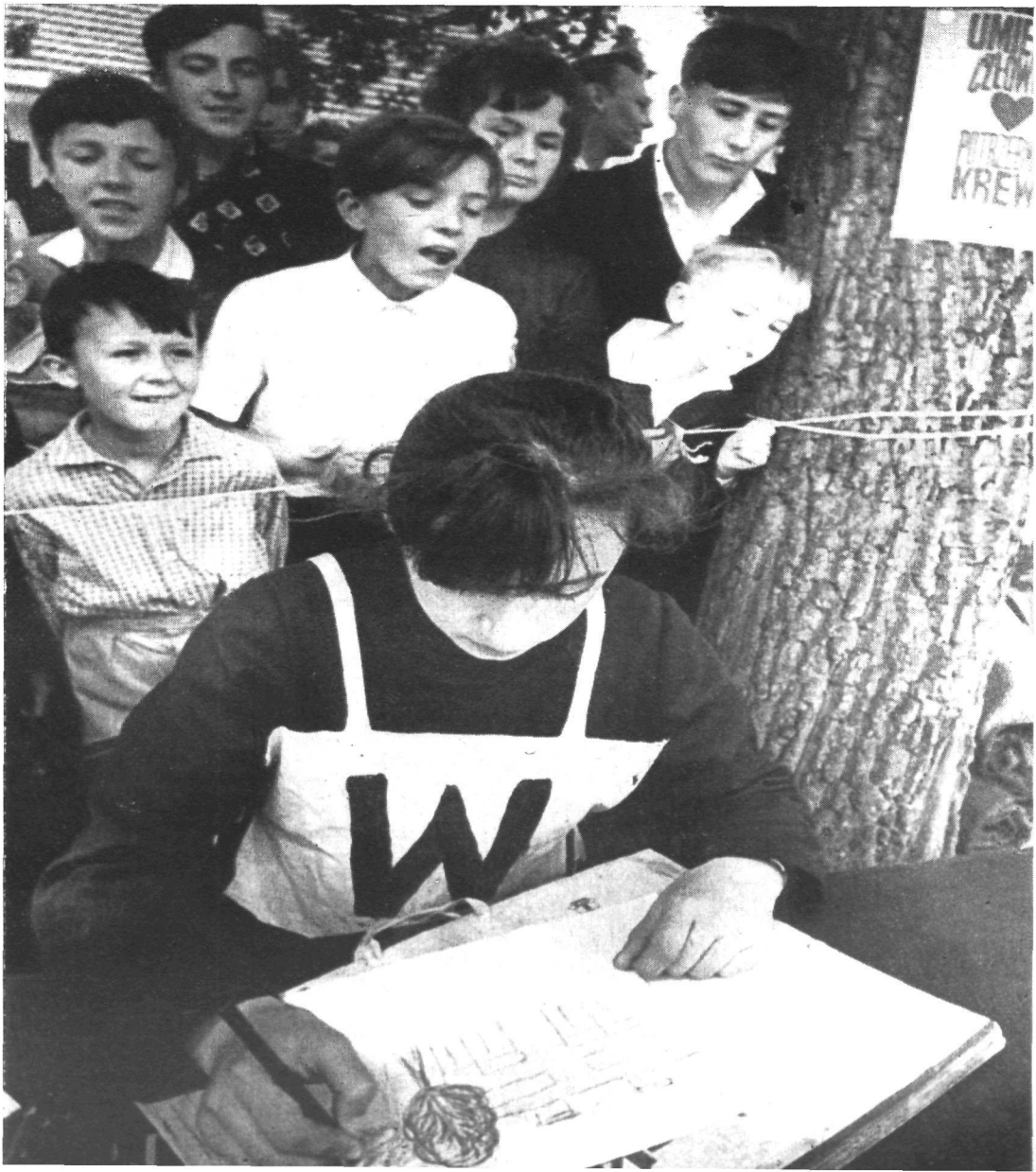


Toporki i owsiane kunie poszły już dawno w odstawkę. Dzisiaj oba Dzierżazna demonstrują sprawność swoich straży pożarnych podpartą azbestowymi kombinezonami i bojowymi wozami strażackimi polskiej produkcji z działkami wodnymi

„Chłopaki, jasna mać! — trza się wziąć w kupę, bo nam wkroją”. Odprawa mobilizacyjna Dzierżazna Małego. Trzeba teraz jak najszybciej złapać oddech i wszystkie siły do szturm!



„Nie podpowiadać!” — uciszają ostro gromadę kibiców członkowie jury. Praca rysunkowa pod nazwą „Mój dom” ma być w pełni samodzielna. Dzierżazno Małe znów zwycięży w konkursie



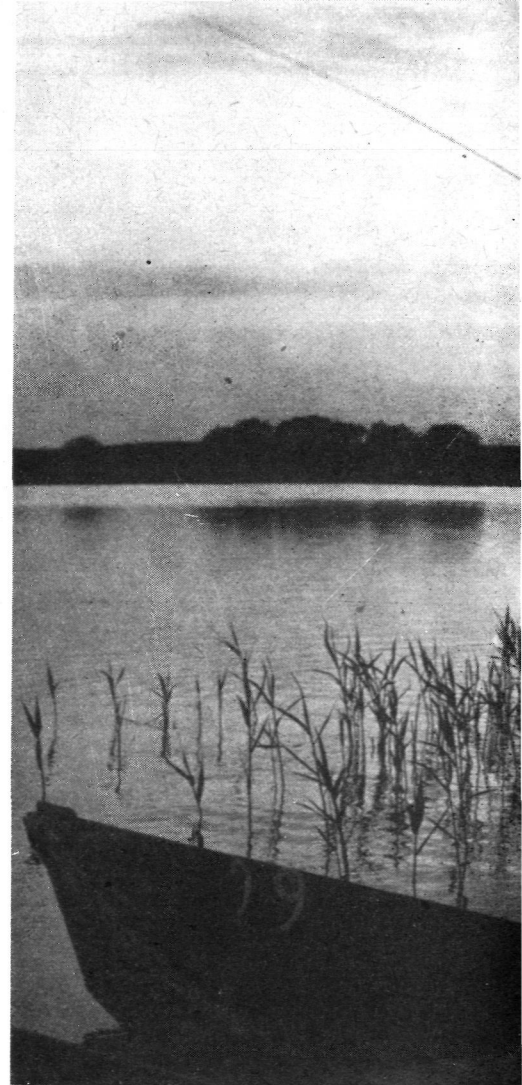
N A R Y B Y



Dziecięce zabawy nad wodą to pierwsze kontakty z przyrodą. Pierwsze spotkanie z rybą pozostawia silne wrażenie

Jeszcze nie spłynęły wody po wiosennych wylewach, a rasowi wędkarze już rozpoczynają sezon. Ryb jest dość, każdy coś złowi

Dawniej był tu uczęszczany szlak. Świadczą o tym resztki mostowych pali. Dziś wymarzone miejsce na spotkanie z rybą, bo ryba i wędkarz pragną spokoju



PIERWOTNY człowiek łowieniem ryb i łowiectwem zapewniał sobie pożywienie. Od najdawniejszych czasów czynności te miały w sobie walory fizycznej sprawności mężczyzny. Prymitywny oszczep na ryby, udoskonalony później w ościę, stał się z upływem wieków wędkarskim haczykiem, uzbrojonym w precyzyjne groty. Tak to w lapidarnym skrócie przedstawia się historia wędkarstwa, wielkie hobby mężczyzn XX wieku.

Wśród organizacji grupujących najprzeróżniejszych hobbystów, wędkarstwo zajmuje w Polsce po turystyce drugie miejsce. W roku 1967 Polski Związek Wędkarski (PZW) zrzeszał 285.257 osób, w tym 55 proc. pracowników fizycznych, 29 proc. pracowników umysłowych, 14 proc. młodzieży szkol-





Doświadczenie i sztuka wędkowania można sprawdzić przez rywalizację z innymi. Świetnie temu służą zawody wędkarskie, które w Polsce mają już swoją wieloletnią tradycję

LA PÊCHE est une des plus vieilles occupations de l'homme. A l'encontre des siècles passés, la pêche en eau douce n'est plus aujourd'hui une des bases de l'alimentation, c'est surtout un passe-temps, un sport même de plus en plus populaire. Il est prisé avant tout par ceux qui aiment passer leur temps en plein air, au sein de la nature. La Pologne, ou plutôt certaines de ses régions, car le développement de l'industrie a ici également limité la surface des eaux poissonneuses, sont considérées comme un véritable paradis pour la grande armée des passionnés de la gaule. L'Union Polonaise des Pêcheurs à la Ligne (PZW) comptait l'année dernière près de 300 mille membres; 55 pour cent de ceux-ci étaient des ouvriers, 29 pour cent des fonctionnaires et des travailleurs intellectuels, 14 pour cent des élèves et étudiants, le reste était composé par les femmes et des retraités. Cette nombreuse compagnie a pêché 29 000 kilos de silures, 14 300 kilos de carpes, 14 070 de brochets, 8 500 kilos de sandres, 5 300 kilos de barbeaux, 2 990 kilos d'anguilles etc. L'Union Polonaise des Pêcheurs à la Ligne dispose de plus de 52 000 hectares d'eaux, il a investi plus de dix millions de zlotys dans la reproduction des diverses espèces de poissons d'eau douce. La pêche à la ligne est devenue, comme nous l'avons indiqué, un véritable sport (en Pologne comme ailleurs il y a championnat national) qui demande patience, coup d'oeil et savoir faire. D'autre part le pêche est également une passion pour ceux qui la considèrent comme une façon de monter une collection très spéciale de poissons rares. Certains pêcheurs collaborent avec des musées et souvent ont un propre musée chez eux.

Cisza i przyroda nie skalana często piętnem XX wieku oraz wszelaka ryba w jeziorach, są magnesem ściągającym wędkarzy na tereny Mazur. Od brzasku po zmierzch przez cały niemal rok odbywa się tu cudowne misterium przyrody, w którym może uczestniczyć wędkarz

nej, 0,7 proc. kobiet oraz obco-krajowców. Jeśli przyjmiemy, że w okresie letnim dochodzi spora liczba wędkarzy sezonowych, nie zrzeszonych w PZW, to są to liczby imponujące.

Żeby zapewnić tym tysiącom wędkarzy warunki do uprawiania ich umiłowanego sportu, trzeba było ogromnego wysiłku organizacyjnego i finansowego. W ciągu tylko jednego roku Związek wydatkował z pieniędzy członkowskich 10,5 miliona złotych na zarybienie wód dostępnych dla wędkarzy. Warto tu dodać, że po-

ką przygodę. Urozmaicona geografia Kraju daje pełny wachlarz wodnych terenów: od bystrych i rwących potoków Podkarpacia i Bieszczad po leniwie płynące rzeki środkowej i północnej części Kraju oraz wielkie skupisko Jezior Mazurskich i Pojezierza Pomorskiego.

W WODACH tych jest różnorodność ryb: boleń, głowacica, karp, lipień, łosoś, okoń, pstrąg, sandacz, szczupak, troć i węgorz. W ubiegłorocznych kronikach krajowych wędkarzy

Oto widomy znak, że ryba w Polsce jest, choć często wędkarz musi na nią czekać całe lata. To czekanie na rybę swego „życia”, to najpiękniejszy czas



● W Surażu nad Narwią archeolog dr Jerzy Głosik znalazł kilka harpunów z kości dzika i łosia, używanych do połowu ryb. Znalezisko to liczy sobie około 1000 lat.

● Wielki kompozytor Józef Haydn był zamiatowanym wędkarzem, specjalistą od łowienia szczupaków.

● Na Kubie organizowany jest co roku przez trzy dni wielki konkurs wędkarski im. Hemingwaya, z udziałem najlepszych wędkarzy Związków Zawodowych. Połowy odbywają się z łodzi, bez względu na pogodę, toteż umiejętności wędkarskie muszą iść w parze z umiejętnościami żeglarskimi.

● Jerzy Kozłowski z Warszawy wędkując w Wiśle wyciągnął na

haczyk damską torbę siatkową na zakupy, a w niej puszkę konserwy mięsnej i ... butelkę jarzębiaku.

● Wędkarze, członkowie orkiestry Filharmonii w Blackpool (Anglia) wyzwalali na pojedynkę żony, by im pokazać, jakie mają wyniki. Zawody skończyły się klęską wędkarzy. Ekipa żon zловиła 4 kg ryb, a mężowie jedynie 0,75 kg.

● „Boże, daj mi złowić tak dużą rybę, bym nie musiał klamać już do końca życia” (Z modlitwy angielskiego wędkarza).

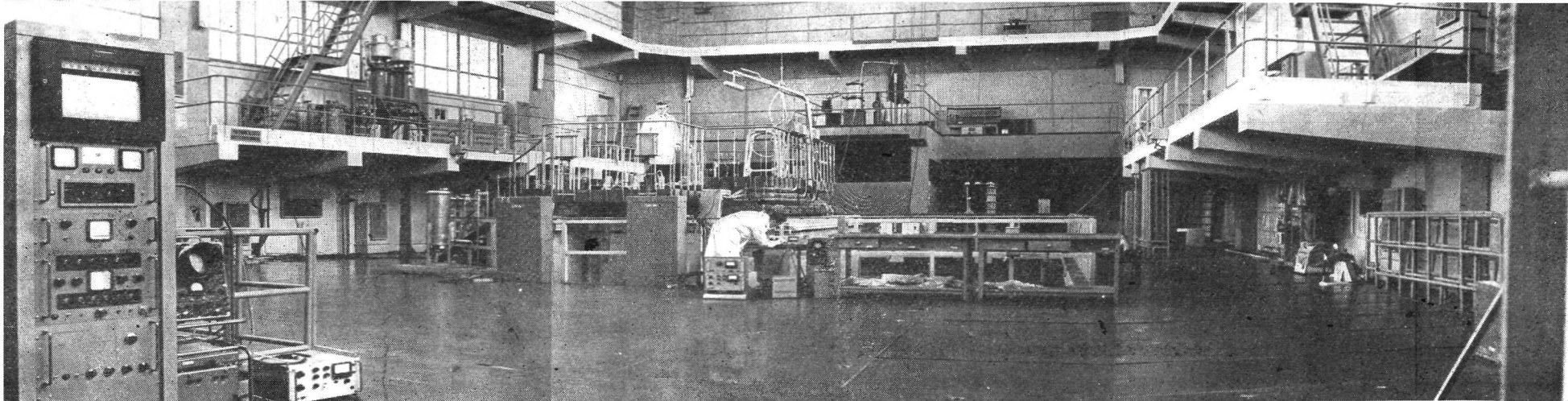
● Doktor A. Nelson z Seattle (USA) dokonał badań na pacjentach, którzy przeszli jeden zawał. Okazało się, że ci, którzy stosowali dietę rybną, uniknęli powtórnego zawału.

wierzchnia wód, jakimi dysponuje PZW, wynosi 52.049 ha.

Ważnym elementem działalności PZW jest walka z zanieczyszczeniem wód. Współdziała on tu wydatnie z innymi instytucjami społecznymi i państwowymi. Troska o biologiczne życie wód jest sprawą wielkiej wagi. Polska nie chce dopuścić do takiego zanieczyszczenia swych wód, jakie notuje się już dziś w wielu uprzemysłowionych krajach. Dzięki temu dziś, poza Skandynawią i ZSRR, polskie wody są jedynym w Europie terenem, na którym wędkarz może jeszcze liczyć na wiel-

zanotowano takie rekordowe zdobycze ogólne w kilogramach: boleń — 5.300, karpia — 14.300, okonia — 1.880, sandacza — 8.500, szczupaka — 14.070, węgorza — 2.990, suma — 29.000.

Z tych danych nie wynika wcale łatwość zdobycia ryby w Polsce. Do legend należą już wody, w których wędkarz znajduje swoje Eldorado. Z każdym dniem przecież wszędzie na ziemskim globie, wskutek przemysłowego zagospodarowania terenów,



„Anna” — ogólny widok reaktora w Swierku

POLSKA BĘDZIE BUDOWAĆ ELEKTROWNIE JĄDROWE



Paweł Jan Nowacki

DZIESIĘĆ lat temu w miejscowości Swierk pod Warszawą nastąpiło uruchomienie pierwszego polskiego reaktora, któremu nadano imię „EWA”. O tym wydarzeniu pisaliśmy kilkakrotnie. Dzisiaj „Ewa” ma już dwie młodsze od siebie pomocnice o kobiecych imionach „ANNA” i „HELENA”, ponadto realizowane są projekty rozbudowy ośrodka, aby polskiej atomistyce zapewnić należne jej miejsce wśród uprzemysłowionych krajów Europy. Poprosiliśmy, aby zabrał w tej sprawie głos jeden z najwybitniejszych polskich specjalistów — **PROFESOR DR INŻ. PAWEŁ JAN NOWACKI**, dyrektor naczelny Instytutu Badań Jądrowych, członek PAN i Szwedzkiej Akademii Nauk. Na wstępie zapytaliśmy, jak na tle światowych osiągnięć wygląda polski dorobek w atomistyce, prezentowany przez ośrodek w Swierku?

Zacząto się od 2 megawatów

— Prace badawcze w dziedzinie pokojowego wykorzystania energii jądrowej zaczęto w szerszym zakresie prowadzić w Polsce od roku 1954, kiedy to powołano do życia zakład fizyki cząstek elementarnych przy Polskiej Akademii Nauk — oświadczył prof. Nowacki. — Powstał wówczas szkicowy projekt pierwszego reaktora polskiej budowy o mocy 5 megawatów, zaś w roku 1955 rząd radziecki zgłosił gotowość dostarczenia Polsce reaktora doświadczalnego i cyklotronu dla umożliwienia szkolenia kadr i rozpoczęcia prac naukowo-badawczych na szerszą skalę. W tym samym roku został stworzony Instytut Badań Jądrowych przy Polskiej Akademii Nauk z dwoma oddziałami: w Warszawie i w Krakowie, w trzy lata później stanął pierwszy polski reaktor badawczy o mocy 2 megawatów termicznych. Oczywiście, od tego czasu dość dużo się zmieniło. Reaktor „Ewa” został dostosowany do wzrastających potrzeb. Jest on dziś jednym z najbardziej wykorzystanych reaktorów w Europie. Wszystkie 9 kanałów poziomych jest stale obsadzonych, a praca odbywa się na trzy zmiany. Zachodziła potrzeba zwiększenia mocy tego reaktora, toteż z końcem ubiegłego roku przeszliśmy na 10 megawatów. Równocześnie trzeba było tworzyć inne reaktory, a więc zaczęliśmy od zestawu podkrytycznego „HELENA”, używanego do pomiaru pewnych preparatów fizycznych oraz do pomiarów szkoleniowych. Trzecim takim zestawem reaktorowym jest zestaw kry-

tyczny „ANNA” z moderatorem grafitowym na wzbogaconym uranie. Urządzenie to służy nam nie tylko do prac naukowo-badawczych, ale również wykorzystywane jest we współpracy międzynarodowej z Norwegią i Jugosławią. Wreszcie zaczęliśmy budowę reaktora typu uniwersyteckiego o mocy zerowej, który nazywamy „MARYLA”.

Izotopy w służbie przemysłu i medycyny

Zapytaliśmy z kolei prof. Nowackiego, do jakich celów używane są wyprodukowane w Swierku izotopy i kto jest ich odbiorcą?

— Jednym z podstawowych zadań „Ewy” jest produkcja radioizotopów, np. kobaltu 60 i irydu, które służą przede wszystkim w przemyśle ciężkim do celów defektoskopii, badań nie niszczących, sprawdzenia jakości odlewów, spawów itp. Służą także w metalurgii, w przemyśle hutniczym i górniczym, a także do celów medycznych. Drugim wielkim działem produkcji izotopów są tzw. związki znaczone, które można domieszać do jakiegokolwiek związku chemicznego i śledzić ich trasę w różnych obiektach, zarówno żywych, jak i w materii martwej. Mamy specjalne osiągnięcia w przemyśle górniczym na skalę europejską i nie mniej ważne w przemyśle petrochemicznym. Np. kontrola spawów całego rurociągu „Przyjaźń” do Płocka i na terenie NRD została wykonana przez nasze ekipy. Ogromne zastosowanie mają radioizotopy w geologii i geofizyce dla szukania nowych zasobów.

Elektrownie i statki przyszłości

Interesująco, według słów profesora Nowackiego, zapowiada się najbliższa przyszłość naszej atomistyki. Jej kolejnym zadaniem będzie budowa drugiego dużego polskiego reaktora badawczego o mocy 30 do 45 megawatów ciepłych typu materiałowego, który ma służyć do badań materiałów konstrukcyjnych oraz energetycznych. W

Le Professeur et ingénieur Paweł Jan Nowacki, directeur en chef de l'Institut des Recherches Nucléaires, membre de l'Académie Polonaise des Sciences et de l'Académie des Sciences de Suède, nous parle de l'avenir de l'énergie nucléaire en Pologne. Les recherches dans ce domaine ont été entreprises en Pologne il y a bientôt quinze ans. Elles avaient un caractère théorique et devaient prendre chair qu'au moment de la construction et de la mise en marche du premier réacteur construit grâce à l'aide de l'Union Soviétique. Aujourd'hui ces recherches sont beaucoup plus concrètes. La recherche nucléaire en Pologne se spécialise dans le domaine de l'application des isotopes dans l'industrie et la médecine. Mais dans un avenir qui est peut-être déjà proche, on prévoit la construction de centrales électrique atomiques qui petit à petit remplaceront les centrales thermiques relativement plus coûteuses à l'exploitation. D'autre part, la Pologne en tant qu'un des plus grands bâtisseurs de navires à l'échelle mondiale, a l'intention de construire des super-cargos propulsés grâce à l'énergie nucléaire. La pensée polonaise dans le domaine des recherches nucléaires est appréciée à l'étranger. Les savants polonais collaborent avec l'Institut de Dubna en URSS, le Commissariat de l'Energie Atomique de France, l'Agence Internationale Atomique de Vienne, le Centre Européen de Recherches Nucléaires de Genève etc. En un mot, bien que née il y a quinze ans, la science nucléaire polonaise occupe aujourd'hui dans le monde une place de première grandeur.

ten sposób Polska zbliża się do stadium, w którym — jak zapowiedział nasz rozmówca — będzie mogła budować w przyszłości elektrownie jądrowe. Oczywiście, przygotowuje najpierw do tego kadrę bądź przeszkoloną we wspomnianych ośrodkach, bądź szkoloną na kursach specjalistycznych w uczelniach wyższych: uniwersytetach, Politechnice Warszawskiej, Akademii Górniczo-Hutniczej i na kursach poddyplomowych. Jednym z dalszych zadań będzie budowa statku o napędzie jądrowym. Polska znajduje się przecież w pierwszej dziesiątce światowych producentów statków, a to zobowiązuje, ażeby z wczesną myślą o niedalekiej już przyszłości, w której statki o napędzie atomowym staną się zjawiskiem normalnym.

Ocena zagranicy

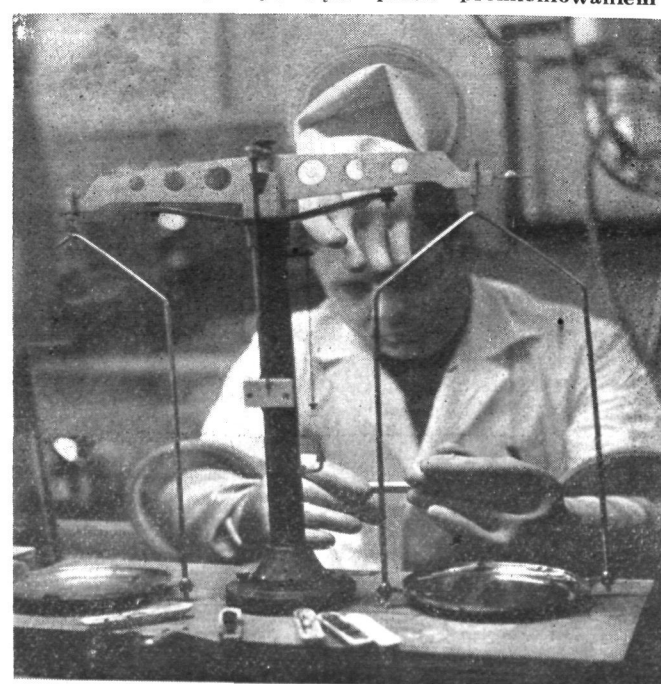
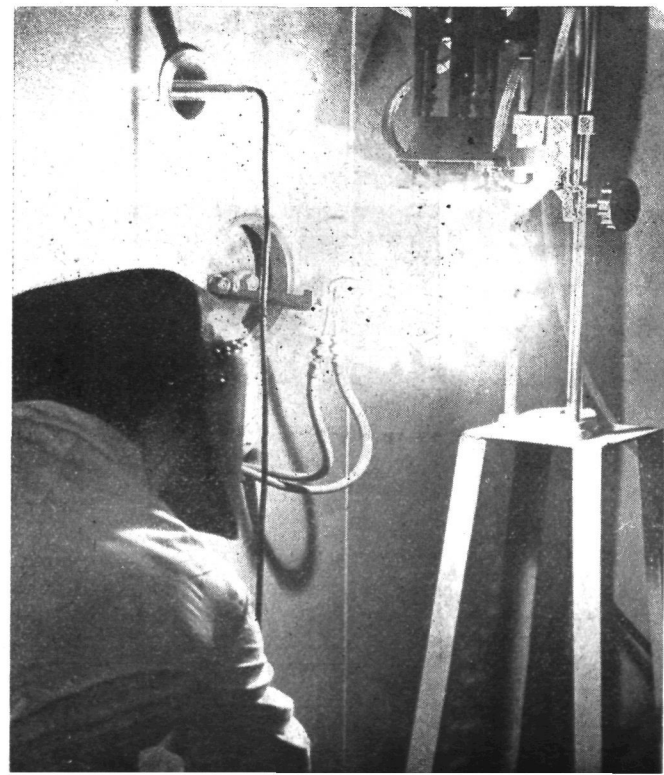
Na zakończenie profesor opowiedział o rozległej współpracy polskiego Instytutu Badań Jądrowych z podobnymi instytucjami i ośrodkami za granicą. Instytut współpracuje przede

wszystkim ze Zjednoczonym Instytutem Badań Jądrowych w Dubnej w ZSRR, bardzo żywą i dobrą współpracę posiada z Francją, z Komisariatem Energii Atomowej i jego ośrodkami. Poza tym współpracuje przede wszystkim z Międzynarodową Agencją Atomową w Wiedniu.

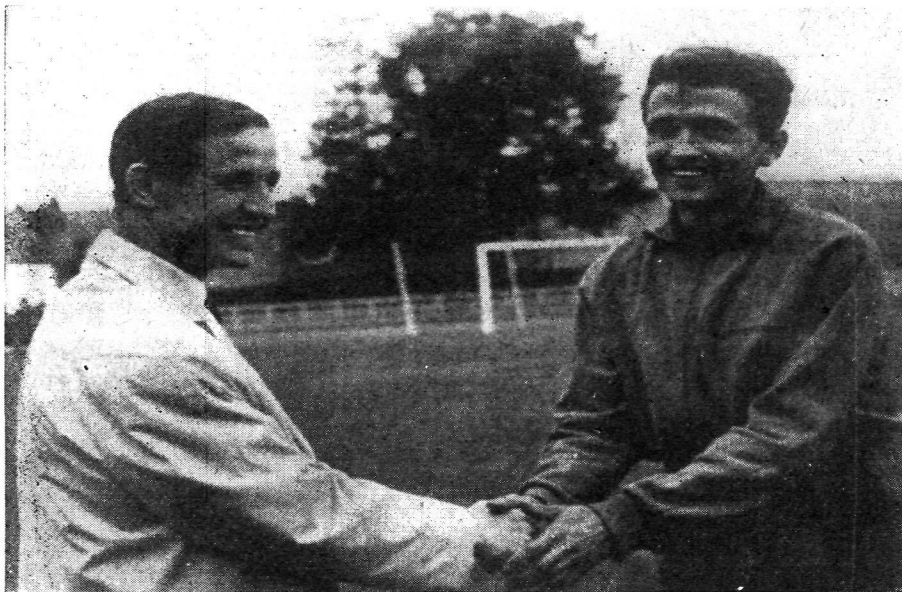
Polska jest jednym z udziałowców wspólnego projektu, który powstał pod egidą Agencji, tak zwanego projektu NPY, obejmującego Norwegię, Polskę i Jugosławię. Kadra polskich naukowców pracuje w charakterze wykładowców i profesorów w Instytucie Fizyki Teoretycznej w Trieście. Ma również bardzo dobre stosunki z Centre Européen de Recherches Nucléaires w Genewie, a także z wieloma krajami m. in. z Węgrami, Czechosłowacją, NRD, Rumunią, Bułgarią, Zjednoczoną Republiką Arabską. Współpracuje również z Norwegią, Danią, Austrią i Belgią. W zagranicznych środowiskach naukowych polska atomistyka jest wysoko ceniona.

Rozm. Leopold MARSCHAK

Przy wszystkich pracach trzeba zachować najdalej idącą ostrożność i zabezpieczyć ręce przed promieniowaniem



„Moje zwycięstwa, moje klęski, moje życie” MICHAŁ! MICHAŁ!



Kopa i Jazy — obaj wyrosli w polskich rodzinach górniczych

OGLADALISZMY kiedyś w telewizji film o życiu i karierze naszego Rodaka, wielkiego piłkarza Raymonda Kopy. W pewnym momencie dziennikarz zadaje Raymondowi pytanie, jak się stało, że został piłkarzem? Kopa odpowiedział mniej więcej tak: „J'étais Polonais, du Nord, je n'avais pas grand choix — ou être mineur ou être footballeur. J'ai choisi le ballon...” Podobny był rodowód Michela Jazy, tyle tylko, że zamiast zostać piłkarzem wszedł do historii francuskiego i światowego sportu obok takich znakomitych biegaczy, jak Bouin, Hansenne, Ladoumègue, Mimoun.

O tym, jak Michel Jazy, dziecko polskiej rodziny górniczej z Pas-de-Calais, został kilkakrotnym rekordzistą świata, opowiada książka pt. „Michel Jazy — Mes victoires, mes défaites, ma vie” wydana przez „Raoul Solar Editeur”. Jest to książka pasjonująca (czyta się ją dosłownie jednym tchem) nie tylko dlatego, że opisuje życie jednego z najsławniejszych sportowców Francji, który przy tym jest naszym Rodakiem, lecz również dlatego, że jest napisana z nerwem pod redakcją Guy Lagorce'a, reportera sportowego i byłego sprintera, rekordzisty Europy w sztafecie 4 × 200 m; ponadto czytelnik, zgodnie ze starą prawdą, że „wiedzieć to dobrze, widzieć jeszcze lepiej”, otrzymuje całą serię zdjęć, wśród których sporo jest fotografii z albumu rodzinnego Jazy, dotychczas nie opublikowanych. Oddajmy na chwilę głos bohaterowi książki, który mówiąc o tym, że w czasie jego wielkich biegów rozlegały się często z trybun okrzyki „Michał! Michał!”, tak wspomina swoje „polskie” dzieciństwo:

„Michał, to polski sposób wymawiania Michel, i całe moje dzieciństwo przepłynęło uniesione na polskich słowach.

Dziadek mój przybył do Francji tuż po zakończeniu pierwszej wojny. U bram Warszawy zgłiszca jeszcze dymy. Mój dziadek był robotnikiem rolnym, ale wojna wszystko zniszczyła. Był bez pracy. Zarabiał tyle, że jego rodzina powoli mogła zdychać z głodu. W tym czasie rozszło się po Polsce, że we Francji znaleźć można robotę w kopalniach północy. Krążyły cyfry o zarobkach, które wydawały się tym biednym ludziom całkiem bajeczne.

W dali migotało coś w rodzaju czarnego Eldorado.

Dziadek zebrał swój skromny dobytek i któregoś dnia, wraz z Babusią, moją babką, i moją matką mającą wówczas sześć lat, udał się do północnej Francji, do Oignies.

Szczerze mówiąc to byłem wychowywany przez dziadków. Tuż po moim przyjeździe na świat, moi rodzice się

rozeszli. Moja matka znalazła daleką pracę jako kelnerka w stołówce w Lille, w odległości 30 kilometrów od Oignies. Mieszkałem w małym domku podobnym do setek innych domków z pocerzanej cegły.

Okno wychodziło na ulicę o lśniącym bruku. Dalej, miękkie wzgórza hałd wydawały się zaczepiać wieczne chmury napełnione czarnym dymem.

A jednak właśnie w tym otoczeniu spędziłem najbardziej swobodnie lata mojego życia, najbardziej bez troski i, w pewnym sensie, najszcześniejsze.

Babusia nie była surowa. Gdy mnie karciła lub dawała klapsa, kończyło się to na ogół tym, że musiałem ją pocieszać, taka była wówczas nieszczęśliwa. Nic więc dziwnego, że i te kary szybko się skończyły.

Mogłem ewentualnie bać się trochę dziadka, który był ogromnych rozmiarów, ale jego praca skazywała go na spędzanie życia w ciemnościach. Zanim się zorientował, że wrócił z dołu, to już musiał się tam udać z powrotem.

Czy wy wiecie na czym polega trud górnika? Jest to najcięższa praca świata; fizycznie i moralnie.

O tym, że jest ona fizycznie ciężka, każdy wie, ale nie każdy wie, że jest ciężka również moralnie. Górnik pracuje osiem godzin na dole. Jeżeli pracuje na nocej zmianie, to gdy wychodzi, siada do stołu i kładzie się spać. Gdy się budzi jest noc i musi wrócić do kopalni.

Jeśli pracuje w dzień, to wówczas gdy świeci słońce jest na dole. Gdy wychodzi jest noc.

Czy pomyśleliście o tym? Czy zdajecie sobie sprawę z tego, co to znaczy żyć w wiecznych ciemnościach? Czy wiecie, że nawet po prysznicu powieki górników mają nadal czarną obwódkę jak po kredce do makijażu oczu? Ze nawet po ośmiu dniach urlopu nad morzem oczy górnika mają nadal tę czarną głębię? To straszne.

Często mawiano, że po śmierci ojca, który miał spalone płuca przez pylicę, zdecydowałem mając dwanaście lat, że nigdy nie zostanę górnikiem. Tak dokładnie jednak nie było. Śmierć ojca utwierdziła mnie tylko w postanowieniu powziętym, gdy miałem niecałe dziesięć lat. Widzę tę chwilę z całą dokładnością.

Moja babcia była w tym dniu wzburzona, gdyż nauczyciel powiedział jej, że jestem bardzo złym uczniem.

Biedna Babusia (dokładnie pamiętam jej zalawione wielkie niebieskie oczy świecące w okrągłej, dobrej twarzy) tłumaczyła mi mieszając słowa polskie i francuskie:

— Michale, nie będziesz nigdy miał certificat d'études i nie będziesz nawet mógł zejść na dół.

Natychmiast odparłem:

— Nigdy nie będę górnikiem Babusiu! Nigdy! (...)

Moja Babusia porządnie się zdenerwowała; mówi już tylko po polsku i odpowiadam jej w tym samym języku.

— I co będziesz robił, ty biedaku, z czego będziesz żył? Z powietrza? Jesteś brudas, leniuch, tylko się bić umiesz, nic nie będziesz umiał, nie, nie!

— Nie będę górnikiem, Babusiu, nigdy! Chcę widzieć słońce! Będę pracował przy byle czym, będę zarabiał mniej od górników, ale będę na powietrzu. Na słońcu!

Babusia płakała...

Dziś lepiej ją rozumiem. Ci wszyscy biedni ludzie nienawidzili kopalni, która ich zabijała, ale jednocześnie dumni byli, że są górnikami. I Babusia płakała nie tylko dlatego, że byłem brudasem, leniuchem i zawsze chętny do bójk, lecz dlatego, że wówczas wydawało jej się, że jestem tchórzem”.

Na dalszych kartkach książki Michel Jazy opowiada jak pasjonowała go piłka nożna do tego stopnia, że nie został dopuszczony do zdania egzaminu ukończenia szkoły podstawowej. Do egzaminu przygotował się więc sam i ku zdziwieniu wszystkich zdał prawie celując. Po pewnym czasie udał się do Paryża, gdzie wcześniej pojechała matka, znalazłszy tam niezłą pracę. Po kilku miesiącach aklimatyzacji w całkiem nowym środowisku, Michel znalazł sobie nowych kolegów, z którymi grywał w piłkę nożną. Zapisał się nawet do klubu. Jednakże zaczęły pociągać go biegi, gdyż koledzy z klubu przekonali go, że byłby dobrym długodystansowcem. W 1953 roku Jazy zostaje mistrzem regionu paryskiego w biegach na przełaj, a następnie mistrzem Francji juniorów na jeden kilometr. Jazy wspomina dziś, że tytuł ten został mu przyznany trochę bezprawnie, gdyż wówczas był jeszcze Polakiem i nie miał jeszcze obywatelstwa francuskiego.

Dalej Jazy opisuje pierwsze kroki kariery, wyjazd do Melbourne, gdzie mieszkał z Mimounem i gdzie pojechał jedynie po to, aby bliżej przyj-

Michel Jazy rozmawia na mecie ze Zdzisławem Krzyszkowiakiem, specjalistą od długich dystansów, również wielokrotnym rekordzistą świata



rzeć się wielkim gwiazdom długich dystansów, z którymi miał w przyszłości walczyć. Mówi o swoim tryumfie w Rzymie, gdzie wywalczył srebrny medal olimpijski; odsłania tajemnicę klęski w Tokio, gdzie na 400 metrów przed metą nagle zdrtwiał mu nogi i z pierwszego miejsca spadł na czwarte, choć był ogólnym faworytem. Zdradza także niektóre tajemnice z życia długodystansowca.

I tak np. pośrednio odpowiada na zarzuty dlaczego przychodzi na mitingi nie ogolony, co uważane jest za lekceważenie kibiców i widzów — otóż okazuje się, że gdy się jest świeżo ogolony, spływający pot po twarzy piekielnie piecze, a gdy się go ręką ociera, można na ułamek sekundy utracić rytm biegu... Pełno jest w tej książce takich momentów pokazujących mistrza od najbardziej ludzkich stron.

Dziś Michel Jazy, syn polskich emigrantów, chłopak z Oignies, który nie chciał zostać górnikiem, wycofał się z wyczynowego sportu. Napisał tę książkę głównie dla tych wszystkich młodych chłopców, którzy chcieliby pójść jego śladami. Autor dziewięciu rekordów świata, 17 rekordów Europy i Francji zdradza swoje tajemnice, które w rzeczywistości nimi nie są — sukces osiągnął ciężką pracą nad sobą, nad swoim ciałem. Michel Jazy wycofał się będąc u szczytu sławy — dziennie otrzymywał po każdym sukcesie tysiące listów (ale jak sam pisze, od czasu do czasu trafiał się podły list zaczynający się od słów „sale polak”) z całego dosłownie świata. Choć tego nie pisze, można być pewnym, że niejeden z tych listów pełnych sympatii pochodził z Kraju jego rodziców, gdzie dziś żaden Jazy nie musi już wędrować za chlebem.

H. K.



Tuż za pałacem wznosi się stromo ku rzece opadająca skała, na której szczycie z wielkim nakładem pracy urządzono wspaniały ogród papieski



Pałac papieski w Avignone rozciąga się na powierzchni 15 tys. metrów kwadratowych, przylegając do wielkiej, górującej nad miastem skały

AVIGNOŃSKIE WSPOMINKI

LYON, godz. 14.01. Rusza pociąg pospieszny do Marsylii. Na peronie ruch, ostatnie pożegnania, uściski, kiwanie dłonią i długi szereg wagonów stopniowo znika z peronu. Jeszcze jedno zakole; jeszcze jedno pasmo wzgórz i wielkie przemysłowe miasto znika z horyzontu. Przed nami długa droga wzdłuż doliny Rodanu, aż do Avignonu. Po prawej stronie raz bliżej, raz dalej od torów toczy swe wartkie wody potężna rzeka Rodan. Woda w niej niebieska, zielonkawa, to znówu jakaś płowa, zależnie od okolicy, którą mijamy. Bywa niekiedy, iż rzeka podchodzi pod sam nasyp kolejowy i tylko znaczna wysokość stwarza dystans. W odróżnieniu od Sekwany ruch na rzece zupełnie znikomy. Zbyt duża różnica poziomów między Lyonem a ujściem utrudnia żeglugę (169 m). Dopiero od Avignonu Rodan staje się w pełni żeglowny (23 m n.p.m.).

Z lewej i prawej strony daleko gdzieś na horyzoncie wyrastają coraz to nowe i nowe zbocza gór. Z lewej zaś strony daleko hen gdzieś pod niebem mającą kontury wysokich gór — to Alpy francuskie, których szczyty pokrywa wieczny śnieg. W miarę zbliżania się do Avignonu krajobraz coraz bardziej staje się podobny do tego, który każdy tak dobrze zna z obrazów Van Gogha. Wy-suszona od słońca ziemia rudego koloru, wzgórzka lysiejące nagą skałą; bujna roślinność tylko w dolinie. Od czasu do czasu przesunie się przed oczyma wioska złożona z kilku białych domków o płaskich, czerwonych dachówkach pokrytych dachach. Na zboczach tu i ówdzie zazieleni się winnica, a nad tym wszystkim jakże promienne słońce, zawieszona w olbrzymim, bezdennym błękitnie nieba. Mijamy starożytne miasto Orange ze swym sławnym antycznym teatrem i niebawem w obszernej kotlinie rysuje się przed nami pięknie nad Rodanem rozsiadły Avignon. Stare średniowieczne mury opasują go wokół, a z ich wnętrza po północnej stronie miasta sterczy w górę ponad czerwone dachy domów wysunięta potężna skała, na zboczu której wznosi się olbrzymi pałac papieski. Ta utrzymana w stylu gotyckim kamienna budowla sprawia imponujące wrażenie, głównie przez swą wielkość.

Pałac papieski, jak i cała potęga papieskiego Avignonu zrodziła się w burzy dziejowej, jaką w postaci tzw. schizmy zachodniej przeżył Kościół w XIV wieku. Przeniesienie przez Klemensa V stolicy papieskiej do Avignonu zapoczątkowało nową epokę w dziejach Kościoła, zwaną niekiedy niewolą avignońską.

Papieże avignońscy, zwłaszcza tacy, jak Jan XXII, Benedykt XII, czy Klemens VI, dbali bardzo o swą stolicę — Avignon, w którym też zbudowali odpowiedni do swych potrzeb i potęgi pałac papieski. Całą tę kolosalną jak na ów wiek budowlę wykonano w rekordowym czasie 18 lat, pod nadzorem głównego budowniczego Piotra Poisson. Pałac papieski, a raczej zamczysko rozciąga się na powierzchni 15 tys. m², przylegając bezpośrednio do wielkiej górującej nad miastem skały. Wewnątrz pustki i zrujnowany, dopiero obecnie poddawany jest stopniowej restauracji. Na jednym z dziedzińców ustawiono olbrzymie ruzytowania — to widownia dla kolejnego festiwalu w Avignone.

Dziś, z wyjątkiem dni festiwalu, całe to potężne wnętrze pałacu technicznie pustką, ale kiedyś, w średniowieczu, bogato umeblowane i ozdobione inny przedstawiało wygląd. Ściany były pokryte pięknymi malowidłami, z których teraz pozostały nikielne fragmenty. Tuż za pałacem wznosi się stromo ku rzece opadająca skała, na której szczycie wielkim nakładem pracy urządzono ogród papieski. Między owym ogrodem a pałacem papieskim znajduje się kościół katedralny, gdzie spoczywają zwłoki papieża Jana XXII, a w którym przez wiele miesięcy głoszono polskie kazania i polskie koledy oraz inne pieśni rozbrzmiewały pod tym starym avignońskim sklepieniem.

BYŁA JESIEŃ 1831 roku. Powstanie Listopadowe w Polsce upadło. Jedną armią pod wodzą generała Macieja Rybińskiego złożyła broń na granicy pruskiej. Oficerowie i żołnierze zostali internowani i osadzeni w potężnym zamku w Malborku. Część z nich wróciła do Kraju, korzystając z amnestii cara Mikołaja I. Ogromna większość jednakże skorzystała z gościnności Francji i przedostała się w te strony.

W Bibliotece Polskiej w Paryżu zachował się ciekawy manuskrypt, obrazujący całą tę cierniową drogę polskiego żołnierza-tułacza. Jest to pamiętnik, bardzo od serca pisany przez niejakiego Tomasza Puchalskiego — oficera i kapelana I regimentu wojsk pieszych 1 Dywizji Piechoty.

Autor urodzony dnia 13 grudnia 1793 w Kraszewie Wielkim, koło Augustowa, syn Kazimierza i Franciszki z domu Łopinińskiej, miał w chwili wybuchu powstania lat 37 i brał czynny udział we wszystkich wielkich kampaniach oraz bitwach. Walczył pod Wawrem, Grochowem, gdzie lekko był ranny w nogę. Był również pod Ostrołęką i Warszawą. Odniesiony wielu orderami, m. in. złotym krzyżem wojskowym, pod koniec Powstania Listopadowego nominowany został na kapelana dywizji.

W pamiętniku swym opisał dokładnie całą drogę przez Niemcy, a następnie wszystkie etapy wędrówki po Francji. Granicę niemiecko-francuską polski pułk „zwycięzonych” przekroczył pod Forbach. Następnie droga ich wiodła przez Nancy, Dijon, Lyon. Tutaj załadowano ich na statek i płynęli w dół Rodanem do Avignonu. Przyjęcie polskiego pułku w Avignone było więcej niż przykre. Mimo troski rządu francuskiego i władz miejscowych, które zadbały o należyte zakwaterowanie i wypłatę odpowiednich zasiłków, wychodźcy polscy spotkali się z wielką obojętnością ze strony mieszczan, a nieraz nawet z wrogością.

Stopniowo jednak te wrogi dla Polaków nastroje zaczęły się zmieniać. Polski pułk, dowodzony przez pułkownika Franciszka Breańskiego, swą postawą z wolna zaczął zyskiwać zaufanie, a potem i szczerą sympatię. Opustoszały od czasów Wielkiej Rewolucji kościół katedralny, tuż przy papieskim pałacu, został oddany na cele kultu dla Polaków.

Zaczęto tam w nim odprawiać polskie nabożeństwa, śpiewać polskie pieśni i wygłaszać polskie kazania. Stopniowo coraz więcej avignonezyków zaczęło uczęszczać na nabożeństwa do polskiego kościoła, w którym wszelka

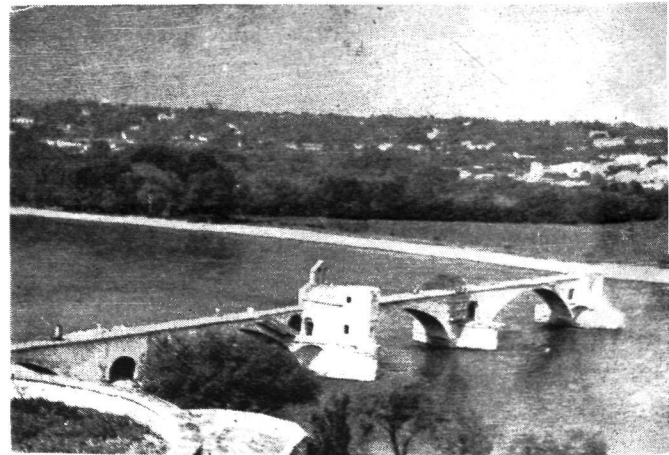
kwesta była zabroniona, co dla oszczędnych mieszczan miało swoje znaczenie. Zresztą ciekawymi byli polskich zwyczajów i polskiej mowy.

W Avignone polscy oficerowie i żołnierze byli świetnie zorganizowani, a mając ustawą zabezpieczone odpowiednie żołdy, nie byli w najgorszej sytuacji materialnej. Wielu z nich miało opanowane różne zawody i mogło również zarobić, pracując w warsztatach avignońskich. Powstała polska szkoła. Znane były polskie uroczystości z odpowiednią oprawą artystyczną. Z czasem coraz częściej Polacy bywali gośćmi rodzin francuskich, a niejedna z pięknych cór Avignonu wychodziła za mąż za biednego, ale jakże szarmanckiego Polaka.

Tę harmonię współżycia psuć zaczęły jednak władze kościelne. Panujący wówczas jako papież Grzegorz XVI był bardzo reakcyjnych poglądów i u Polaków jak najgorszą pozostawił po sobie pamięć. Nie tylko że potępił Powstanie Listopadowe, odsądzając od czci i wiary wszystkich patriotów polskich, którzy ośmielili się burzyć to „święte przymierze”, ale w całej niemal Europie katolickiej urządził jak gdyby nagonkę na polskich uchodźców.

Ta antynarodowa i antypolska postawa papieża miała także wpływ i na los polskich uchodźców w Avignone. Papież nakazał biskupowi avignońskiemu wymusić od polskiego duchowieństwa specjalne deklaracje potępiające powstanie i pozbycie się raz na zawsze wszelkich myśli walki o niepodległość narodu. Żaden z polskich kapelanów w Avignone, a było ich pięciu, takiego oświadczenia ani ustnie, ani na piśmie nie złożył, mimo iż odmowa groziła pozbawieniem prawa odprawiania nabożeństw i udzielania sakramentów. Na tym tle zaczęły się poważne konflikty z biskupem i duchowieństwem Avignonu. Na Polaków patrzono jak na heretyków.

W polskim wychodźstwie narastała niechęć i rozgoryczenie. Zaczęły się swary wewnątrz polskiego obozu. Dochodziło często do kłótni, których epilogiem najczęściej bywały pojedynki. Raz nawet zdarzył się tak czarny w życiu polskiej kolonii dzień, w którym aż czterdzieści osób naraz zostało wyzwanych na tę walkę honoru. Po pojedynkach były pogrzeby i nowe powody do rozgoryczenia i nienawiści. Wreszcie polski obóz wojskowy w



Wyciągnięte ramie słynnego mostu w Avignone daremnie próbuje objąć całą płynącą rzekę...

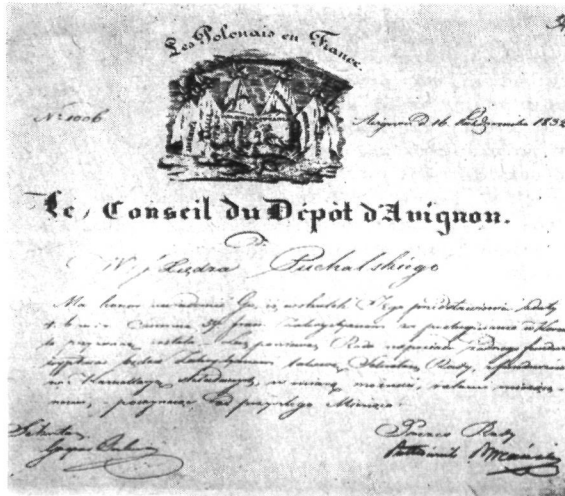
Avignone został podzielony i jedna jego część, gdzie znajdował się nasz autor pamiętnika, otrzymała nakaz przeniesienia się do Bergerac w pobliżu Bordeaux. Co dalej się działo z resztą polskich powstańców, nie wiadomo, zakładając tam rodziny. Inni, jak np. por. Nikiel, osiedli w Carcassone. Jeszcze inni w pogoni za chlebem wyemigrowali za ocean, w dalekiej Ameryce szukając cichej przystani w swym skołatany troskami życiu.

Dziś chodząc po starych i wąskich uliczkach Avignonu spotkałem kilka sztyldzików i kilka nazwisk z tak mile dla polskiego ucha dźwięczącą końcówką „ski”, ale nie śmiałem wchodzić i pytać, skąd to polskie nazwisko w tak odległym od Polski Avignone. Jedynie tylko wychodząc z pałacu papieskiego, skoro na rozżarzonej od słońca ulicy usłyszałem zdanie: „A może mama jest zmęczona, to usiądźmy na chwilę w cieniu”, nie wytrzymałem i podszedłem, zagadując w ojczystym języku. Ucieszyli się oboje. Okazało się, że on, architekt, wraca z rocznego stażu z Anglii. Wraca z mamą, którą zaprosił za zaoszczędzone pieniądze, by wraz z nim zwiedziła Francję. Odjeżdżając z Avignonu raz jeszcze poszedłem nad rzekę, by popatrzeć na stary sławny most avignoński, upamiętniony w znanej niemal w całym świecie piosence; „Sur le pont d'Avignon”...

Jego wyciągnięte ramie daremnie próbuje objąć całą rzekę. Rodan wyrwa się z objęć kamiennych przesłanek mostowych i mknie wartko ku morzu, jakby lekceważąc miasto, jego mieszkańców i całą tę w tych kamiennych budowlach zamkniętą bogatą historię.

Odjeżdżając ostatnie spojrzenie rzuciłem na wielką skałę i na pałac, a wśród jego siedmiu wież na długi w pamięci pozostała mi ta wieża, gdzie według opowiadania Alphonsa Daudet średnio-wieczni dowcipnicy wpędzili papieską ulubioną mulicę, która znalazła się na wysokim szczyście cały ranek beczala i nie było sposobu ściągnąć ją na dół, ku wielkiemu utrapieniu papieża Benedykta XII.

Zygmunt BORAS





Polski „Sherman” i niemiecka „Pantera” zastygłe po zadaniu sobie nawzajem śmiertelnych ciosów

NRUDNO MI BYŁO w pierwszej chwili przypomnieć sobie, skąd znam tę wąską szosę byszcząca teraz niebieskawo od niedawno spadłego deszczu, na którą patrzyłem z miejsca obok kierowcy. Tkwilem znów w peugeocie, który bez trudu, lekko brał wspinające się serpentynami zakręty. Z lewej i prawej wznosiły się obramowując szosę nasypy ziemne porośnięte gęsto zaroślami. Miały one teraz smutny wygląd, bez koloru — niczym wspomnienia wydarzeń zbyt odległych. — „W sierpniu wtedy mieliśmy lepszą pogodę”. Ani kropli deszczu — mówi p. Kozak z tylnego siedzenia. Obaj kombatan ci dywizji są w jakimś sensie do siebie podobni fizycznie — obaj atletycznej budowy, spokojni, opanowani i o bardzo trzeźwym spojrzeniu na świat, historię i swoje życie. Trochę szumi nam w głowie po wizycie u p. Chevallier, ale może to nawet i lepiej, bo i obrazy, z którymi tutaj się

nie brzmia „MACZUGA”. Nazwa po raz pierwszy użyta została w rozmowie dowódcy 1 Polskiej Dywizji Pancerniej gen. Maczka z szefem sztabu 10 Brygady. Jego bowiem odwzorowanie na mapie, układ warstwicy rzeczywiście przypominało maczugę.

Wzgórze Mont Ormel czyli „Maczuga” wyrasta mniej więcej o cztery kilometry na północny wschód od Chambois i ciągnie się w kierunku północnym. Stojąc na jego szczyt, u stóp imponującego pomnika wzniesionego tu i odsłoniętego w roku 1965, ma się rzeczywiście fantastyczną panoramę i na Chambois, i na dwie szosy biegnące z południowego zachodu na północny wschód — szosy niemieckiego odwrotu w tych sierpniowych dniach.

Teraz nie ma tu słońca, minęła godzina czwarta, krople deszczu ściekają po zielonorudych pniach drzew samotnych i smutnych. Wspaniała stylizowana potrzaskana wieża czołgowa stanowi dekorację portalowej części

który ofiarował ten teren pod pomnik nie bez pewnych — jak się wydaje — nadziei na ożywienie ruchu turystycznego. Tak się tu splatają rzeczy wielkie i bardzo małe, heroiczne i płaskie, ale ostatecznie ci, co tu przyjeżdżają, dowiadują się w końcu czegoś o Polakach, którzy w różnych historiach popularnych publikowanych na Zachodzie występują przeważnie jako „mężni Kanadyjczycy”, z racji organicznego związku z 1 Armią generała Crerera.

19 SIERPNIA znalazło się tu na „Maczudze” 87 polskich czołgów i około 2000 ludzi. „Maczuga” wyrosła jako trzeci, obok Chambois i wzgórza 113 obsadzonego przez Zgorzelskiego, bastion przeciw wycofującej się wąskim korytarzem na wschód 7 armii Haussera. U Niemców przed trzema dniami zmieniło się dowództwo; pojawił się ściągnięty przez Hitlera z Frontu Wschodniego feldmarszałek Model, który zastąpił Klugego. Model ustano-



Kapitan Pierre Sevigny, autor relacji o walkach Polaków na „Maczudze”

NA MACZUGĘ

spotykamy i które wywołują w pamięci wspomnienia lub refleksje, mają trochę inny wymiar, inny smak. Może to i lepiej, jeśli zważy się to wszystko, co tutaj musiało się dziać przy ryglowaniu tego kotła, w którym znalazły się resztki 7 armii niemieckiej generała Haussera. I te wzgórza, na które dość lekko i bez wysiłku wdrapujemy się peugeotem p. Barylaka, lśniącym jeszcze od deszczu, który kropił w Chambois, odegrały w końcowym dramacie zasadniczą rolę.

Szosa znam oczywiście nie z czterdziestego czwartego, tylko z lektury. Widnieje ona we wszystkich dokumentalnych książkach o bitwie normandzkiej — zawałona rozbitymi, spalonymi czołgami i pojazdami wszelkiego rodzaju, zmasakrowanymi kołami i ludźmi. Najlepsze zresztą zdjęcia wykonał, jak teraz widzę — niezjący już niestety wybitny polski artysta p. Marian Walentynowicz, sam żołnierz dywizji. Prawdę mówiąc, od najwcześniejszych lat występował w mojej wyobraźni jako autor graficznej części „Przygód Koziołka Matołka” i „Przygód Małpki Fiki-Miki”. A tu tymczasem w książce pamiątkowej 1 Dywizji Pancerniej, wydanej w Brukseli po wojnie, widzę serwis zdjęć, które — gdyby lepiej były odbite — stanowiłyby „clou” każdej wojennej książki.

Szosa pnie się ku Mont Ormel, długiej, czterokilometrowej górze o dwóch wierzchołkach identycznej wysokości 262 metrów. To spore wzniesienie weszło jednak do historii walk w kotle Falaise nie jako Mont Ormel, lecz jako całkiem z polską i swojsko, choć groź-

ni pomnika, nad którą wyryto dewizę: „Pro libertate et pace”. Przed nim z łufą wycelowaną w daleką o kilkanaście kilometrów ciągnącą się linię horyzontu stoi nowy lśniący Sherman... najbardziej polski akcent pomnika, ponieważ na nim, na jednej jego burcie wymalowana jest historyczna nazwa „MACZUGA”, a na drugiej burcie „MACZEK”. Panowie Kozak i Barylak, którzy są prawdziwą chodzącą kroniką tutejszych zdarzeń, nieraz dość dramatycznych — wiążących się z budową pomnika, kiwają głową nad „Shermanem”. „Takiego nie mieliśmy, to nowszy typ. A zresztą to nieważne, grunt, że napis jest nasz, choć jeden...”

W całym bowiem ugrupowaniu pomnika jest po prostu trochę anachronizmów oraz deformacji wynikłych z wpływu czasu i miejsca, na którym pomnik stawiano. A więc po drugiej stronie portalu stoi lekki samochód z białymi wyglansowanymi oponami, mający symbolizować udział Francuzów w bitwie w kotle pod Falaise. Co prawda dzielnych skądinąd żołnierzy 2 Francuskiej Dywizji Pancerniej tu na Mont Ormel w decydujących chwilach nie było, bo mieli co innego w głowie — Paryż, no ale to całkiem już inna historia. Pomnik w sumie pomyślany jest, że tak powiem, jako pomnik syntetyczny i w dni uroczyste przystrajany bywa przynajmniej pięcioma sztafardami narodowymi. Ci, którzy go odwiedzają — Francuzi, Anglicy, Niemcy, Amerykanie, Skandynawowie — parkują samochody niedaleko, oglądają okolicę, po czym spieszą do lokalu p. Prunier,

wił rozłożony na trzy dni plan wycofania 7 armii z kotła — 18 sierpnia przekroczenie szosy Falaise-Argentan, 19 przekroczenie rzeki Dives i 20 sierpnia wyjście jednostek 7 armii nad rzekę Tuques koło Laigle. Ba, ale żeby tego wszystkiego dokonać, trzeba sforsować wzgórze Mont Ormel, wokół którego biegały dwie szosy na północny wschód. A bez szos nie można uratować sprzętu w tym krajobrazie normandzkim, który sprzyja bronią, ale dla atakujących czy tych, którzy chcą iść „na skróty”, jest fatalny. Można więc nie iść szosami, ale wtedy ujdzie tylko trochę piechoty...

19 SIERPNIA o 12.40 na Mont Ormel jest już zgrupowanie bojowe majora Stefanowicza: 1 Pułk Pancerny i dwie kompanie Baonu Strzelców Podhalańskich. Sztabowa chłodna relacja mówi: „Na przelęczy „Maczugi” między wzgórzami 262 o godzinie 12.40 1 Pułk Pancerny zaskoczył ogniem stłoczoną na szosie niemiecką kolumnę pancerno-motorową, idącą wóz przy wozie z Chambois do Vimoutiers. Najbliższe wozy kolumny (samochody pancerne) zostały zapalone i zniszczone z odległości około 40 metrów, kolumna zatrzymała się i w ciągu pół godziny trwającego ognia stanęła w płomieniach. W składzie jej były czołgi typu „Pantera”, działa 88 i 105 mm, pancerne wozy dowodzenia, moździerze wielolufowe oraz wozy taboru samochodowego i konnego. Przyszła dość szybka reakcja w formie nawał moździerzy wielolufowych, od których kilku żołnierzy odniosło rany... Reakcja ta jednak szybko zamiera. 1 PPanc. prowa-

dził dalej ogień zupełnie bezkarnie. Pożary i eksplozje wzmagają się na sile, tak że po pewnym czasie horyzont zakryty jest dymem. Niemcy próbowali jednak przechodzić obok drogi pod przykryciem dymu i dlatego ogień musiał być podtrzymywany. Wszędzie pojawiały się białe flagi, szli i czołgali się ranni Niemcy... Dalszy ruch na południe stał się na razie niemożliwy ze względu na pożary i dymy przestającą całą widoczność...”

Tyle mówi relacja typu „sztabowego”. I właściwie z tych kluczowych momentów nie zostałyby nic żywszego literacko, gdyby nie obecność wśród Polaków... Kanadyjczyka, kapitana Pierre Sevigny, obserwatora artyleryjskiego czterech baterii kanadyjskich uplasowanych w rejonie wioski Trun. Dział kanadyjskiego 4 pułku artyleryjskiego, mające wspierać polskie zgrupowanie, obok ognia polskiego odegrały wielką rolę w ciągu tych trzech kluczowych dni, gdy na „Maczudze” uderzyły zarówno oddziały pragnące wyjść z okrażeń, jak i II Korpus Pancerny SS usiłujący „podać rękę” okrażonym. Kapitan Sevigny, dziś starszy pan w stopniu pułkownika, inwalida, bez nogi, którą stracił już podczas walk w Niemczech, ranny 67 odłamkami, tak opowiada o tych trzech decydujących dobach.*

* Tekst zaczerpnięty z wydawnictwa „Boisjos. Cote 262” wydanego w roku 1965 metodą fototypiczną w niewielkim nakładzie w Vimoutiers przez p. Dufresne.

NA MACZUGĘ

ŚWIADECTWO KANADYJCZYKA

SOBOTA 19 SIERPNI. „O świcie dowódca poleca mi towarzyszyć pułkownikowi kawalerii pancernej, który będzie wspierał atak na wzgórze 262 (Boisjos); wzięcie jego stanowi nasz ważny cel. Kolumna czołgów wyrusza do ataku. Moim pojazdem jest czołg „Sherman” wyposażony w działo i dwa karabiny maszynowe. Mam także dwie radiostacje: przez jedną mogę wysyłać rozkazy ogniowe do moich baterii, które znajdują się w tyle; za pomocą drugiej mogę porozumiewać się z wojskami na pierwszej linii. Wkrótce pojawia się wzgórze — jesteśmy w środku piekła. Kompania piechoty niemieckiej broni pozycji, zdecydowana utrzymać ją za wszelką cenę. Nasze oddziały będą ją musiały zniszczyć do ostatniego żołnierza — nikt się nie podda. Po kilku godzinach żarliwych walk jesteśmy w końcu panami terenu; mogę teraz zbadać położenie: nad wzgórzem 262 dominuje mały las, niedaleko znajduje się stary dwór (de Boisjos), w połowie zniszczony. Niemcy stworzyli tu całą sieć okopów. Zmasowali tu ogromne ilości amunicji. To wzgórze wydawało się ważne dla wroga usiłującego utrzymać swobodę ruchu na dwóch drogach, które mu pozostały...”

Ale ani Kanadyjczycy, ani Amerykanie nie dają znaku życia, podczas gdy atak poranny zmniejszył nasze stany. Poza tym mamy żywności na 24 godziny, brakuje wody i działo 88 mm zabiło nam lekarza i zniszczyło wszystko, co miał.

„Okolo godziny trzeciej patrol donosi, że w naszą stronę kierują się dwie kolumny nieprzyjacielskie. Oznacza to, że już jesteśmy odcięci, że nasze linie komunikacyjne zostały przerwane. Ale drogi podejścia nieprzyjaciela krzyżują się niedaleko stąd; podaje rozkaz wzięcia na cel skrzyżowania. Baterie oczekują w gotowości bojowej. Uplywa piętnaście minut w zupełnym bezruchu. Zamaskowani żołnierze czuwają. W tym samym mniej więcej czasie obie kolumny osiągną skrzyżowanie. Jak było do przewidzenia, wytwarza się zamęt, każdy chce pierwszy wyjść na drogę: olbrzymie ciężarówki wyładowane wojskiem, działa ciągnięte przez sześć koni, wozy sztabowe, lekkie gąsienicowe pojazdy rozpoznawcze i nawet dwa potężne czołgi z działami 88. Kompletny bałagan!

Głosem, któremu staram się nadać odcień spokoju, podaję rozkaz: „Fire!”**) 16 dział grzmi jednocześnie.

**) Ognia!

Dwadzieścia salw. Ich 45-kilogramowe pociski padają na tę rojącą się masę. Cóż za masakra! Celowniczo się popisali. Widzę, jak wybuchają płomieniem pojazdy, jak konie rzucają się oszalone, nie mogąc wyswobodzić się z zaprzęgów, ludzie próbują uciekać, ale i ich dosięgają pociski. Oto pocisk zrywa wieżę z jednego czołgu, sąsiedni już się pali, do akcji wchodzi karabiny maszynowe... Dziesięć minut później cała szosa jest w płomieniach, amunicja wybuchła w pojazdach. Z naszej strony żadnych strat! Ale trzeba oczekiwać kontrataku. Zachęceni przez ten pierwszy sukces czynimy wzgórze 262 fortecą. Ale już o godzinie 17.00 otrzymujemy depechę, mogącą osłabić ducha: Kanadyjczycy zostali zatrzymani o pięć mil stąd i nie będą mogli posunąć się naprzód przed otrzymaniem posiłków. Cała nadzieja w Amerykanach, którzy posuwają się z południa i powinni połączyć się z nami w nocy; o 21.00 kolejna depecha: Amerykanie także zatrzymani. A więc jesteśmy sami, otoczeni ze wszystkich stron!”

Dowódca polski zbiera więc oficerów i przemawia do wszystkich po francusku z przyczyny mojej obecności:

„Proszę Panów — mówi — chwila jest poważna. Nasza brygada jest kompletnie odcięta. Wróg jeszcze walczy; jego jedyne drogi odwrotu to te, które widzicie z prawej i z lewej. Nikt inny prócz nas nie może go zatrzymać i musimy tego spróbować. Właśnie my Polacy. Oto, co proponuję: piechota będzie się trzymać u podnóża i w zasadzie nie wycofa się wyżej, chyba że w ostateczności; czołgi pozostaną tutaj, w tym małym lasku, z wygaszonymi silnikami — musimy oszczędzać paliwo. Moje stanowisko dowodzenia będzie w tym starym budynku, w którym się znajdujemy...”

„...A zwracając się do mnie — relacjonuje dalej Kanadyjczyk — mówi: Czy może Pan otoczyć wzgórze ogniem swoich dział? Odpowiedziałem twierdząco. Uścisk dłoni i każdy na swoje stanowisko. Skierowałem lufy dział na cztery punkty, z których przewidywałem ataki nieprzyjaciela. W ten sposób będą mogły później kłasić precyzyjnie ogień w dowolnym momencie.

„Nieprzyjaciel atakuje w nocy równocześnie z różnych stron, dochodzi do krwawych walk wręcz. Tracimy wie-



Stylizowana wieża czołgowa — fragment pomnika na „Maczudze”

lu ludzi, dla rannych wszystko co mamy, to trochę jodyny...!

NIEDZIELA 20 SIERPNI. Wstaje dzień, trzeba zreorganizować i ściętnić nasz krąg obrony. Wszystkie ataki zostały odparte, jednak straty w walce nocnej są znaczne. Strzelamy bez przerwy, lufy karabinów maszynowych i ręcznych są czerwone.

Trochę spokoju, ale smutku u nas nie brak: dowódca kontuzjowany w pierś wybuchającym pociskiem... Racje żywnościowe wyczerpane, amunicji braknie. Nagle z lewej słyszymy szum wielu czołgów w marszu; czołgi niemieckie idą na nas. Najlepsza obrona to jednak atak. Wychodzimy na spotkanie nieprzyjaciela dwunastoma czołgami. Wkrótce zarysowuje się 16 olbrzymich czołgów niemieckich typu „Tygrys”, walka rozpoczyna się, ale już w trzy minuty sześć naszych czołgów zostaje zniszczonych, a z ich strony tylko jeden! Tylko artyleria może nas ocalić. Ukryty w jakiejś jamie przekazuję moje rozkazy sygnaliście z przenośną radiostacją, który z kolei przekazuje je na działa. I zadaję sobie pytania: Czy dobrze przestudiowałem moją mapę? Czy dobrze zaznaczyłem nasze miejsce? Czy działa zdążą dać ognia w porę. Olbrzymy ze stali idą dając ognia z całej swej broni. Co robią artylerzyści? Pierwszy czołg jest dalej od nas niż o 500 metrów... teraz 400, 300..., 250... 200... To już koniec! Nie mam odwagi więcej patrzeć. A jednak jeszcze patrzę: 150 metrów, 100 metrów. Rzucam się na dno jamy,

twarzą w ziemię, nie ruszam się, za sekundę nadejdzie śmierć... Nagle huragan, odgłos gromów, ziemia drży, Czy to śmierć? Czy to życie? Czy to możliwe? To pomoc! Nasze działa biją! To, co słyszę, to nasze pociski! I tam, w mojej jamie śmieję się, płaczę. Jesteśmy ocaleni. Jak nigdy przedtem, z dokładnością, cudowną szybkością fala pocisków spada na wroga. Bosz***) zawaha się. Pięć czołgów płonie jak sterty słomy. Moi kanonierzy mają rozkaz wystrzelić całą amunicję. Atak zostaje załamany, Niemcy cofają się ściągani przez Polaków, którzy zniszczą jeszcze trzy czołgi.

Wkrótce potem natarcie ponawia się. Straty nasze wciąż rosą... Nie mogę uwierzyć swoim oczom: Bosze idą na nas śpiewając „Deutschland, Deutschland über alles”. Pozwalam im podejść na 50 kroków... następne fale nadchodzą... to już piąta z kolei... nie mając amunicji Polacy rzucają się na bagnety. Podczas tego dnia zaznamy o 8 m i u podobnych ataków... Cóż za fanatyzm!”

Pośród zdjęć ilustrujących świetną relację kapitana Sevigny, mężnego Kanadyjczyka, który walczył u boku Polaków wraz ze swoimi działami, jedno zwłaszcza się wyróżnia: polski „Sherman” i niemiecka „Pantera” za styglem lufa w lufę, po zadaniu sobie nawzajem śmiertelnego ciosu; odległość między nimi — dwa metry.

Wystarczy.

Polacy stracili na „Maczudze” 11 czołgów i 337 ludzi, wzięli do niewoli ponad 1000 jeńców, których do tego musieli w boju pilnować wewnątrz własnego zgrupowania. Na bezpośrednim przedpolu naliczono 500 zabitych. Co i ile zniszczyli, nikt tego nie policzy. Wszystkie trzy główne zgrupowania polskie ryglujące kocioł pod Falaise wzięły w tych dniach jeńców pięć tysięcy.

I chyba tutaj gdzieś powstała fraszka dywizyjna, która brzmi tak:

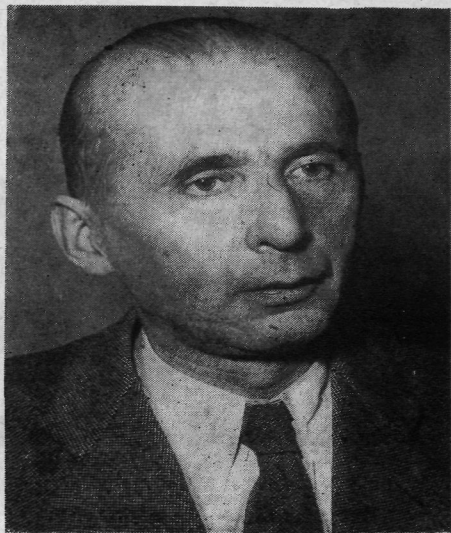
„Raz kocię, między jednym i drugim posysem
Zaliło się swej mamie, że chce być tygrysem.
Rzekła mu na to kotka: „Skończ z tymi żalami!
Czy ty wiesz, co Polacy robią z tygrysamii?”

✱

ZJEZDZAMY z „Maczugi”, gdy już szarość kasuje kontury, żółte światła peugeotów torują nam drogę we mgle. Mijamy skrzyżowanie w Chambois, przejeżdżamy wolno przez Falaise, które (5000 mieszkańców) wygląda jak skrzyżowanie Brackiej i Alei Jerozolimskich w Warszawie z Cedetem razem, tak jest silnie iluminowane. Zatrzymujemy się w Potigny, wyzwolone przeciw także przez naszą dywizję pancerną, przez moich przyjaciół. Stoimy na krawędzi chodnika, widać już żółte reflektory autobusu. Sciskamy sobie ręce. Nie mówimy przez chwilę nic wszyscy trzej. Niby jesteśmy tu w Potigny na ziemi francuskiej, niby widzieliśmy Falaise, Chambois i Mont Ormel... Ale myślą, sercem jesteśmy — i to razem wszyscy trzej — gdzieś bardzo stąd daleko...

***) Pogardliwa nazwa Niemców.





L'AUTEUR, vice-maréchal de la Diète polonaise, secrétaire et membre du Bureau Politique du C.C. du P.O.P.U. a publié un livre de souvenirs consacré à l'Insurrection de Varsovie (dont on célèbre le 24-ème anniversaire), à laquelle il participa activement sous le pseudonyme de „lieutenant Zenon”. Ce livre, se penche entre autres sur la question des rapports entre l'Armée Populaire (A.L.) et l'Armée de l'Intérieur (A.K.). Le fragment que nous publions, et dont le titre est de notre rédaction, relate les derniers moments de l'insurrection dans le quartier de Żoliborz et, plus particulièrement, les minutes angoissantes qui précédèrent la capitulation du sous-colonel „Żywiciel”, chef de l'A.K. pour ce quartier de Varsovie. Cette décision était d'autant plus surprenante que quelques heures auparavant „Żywiciel” était d'accord de forcer la Vistule en commun avec les détachements de l'A.L.

LES DERNIERES HEURES DE ŻOLIBORZ

ZENON
KLISZKO

LA DERNIÈRE rencontre des officiers de l'A.L. et de l'A.K. commençait. Le sous-colonel „Żywiciel” m'observait avec attention, droit dans les yeux, comme si il voulait trouver en moi une réponse à la question qu'il n'avait pas encore posée. Ce ne devait être qu'une impression, née sans doute du caractère particulier du moment. „Żywiciel”, de sa voix calme et uniforme, commença à relater les événements de la dernière heure. Du P.C. du Commandant en Chef de l'Armée de l'Intérieur, du général „Bór”, était arrivé à Żoliborz le colonel „Wachnowski”. Il portait sur lui l'ordre de capituler. J'ai décidé de l'exécuter — constata brièvement „Żywiciel”. Après ces quelques mots, le silence tomba. Nous nous regardions, ne voulant croire que ce que venait de dire „Żywiciel” était la vérité. Presque en même temps, tous posèrent la même question: pourquoi? Dans deux heures à peine nous devons traverser la Vistule. Pourquoi donc capitulons-nous? Qu'est-ce qui nous y oblige? Quelqu'un déclara d'une voix éraillée par la passion que c'était là soit un crime sans exemple, soit une bêtise impardonnable.

De nouveau le silence retomba. Nous observions le sous-colonel „Żywiciel” lui demandant des explications. Il nous déclara que le passage de la Vistule est impossible car les Allemands sont au courant et qu'ils feront tout pour nous en empêcher. Ils connaissent la teneur de nos conversations chiffrées avec le commandement de la 1-ère armée de l'Armée Polonaise à Praga. L'espace entre Dolny Żoliborz et les berges de la Vistule a été miné par les Allemands, d'autre part il y a de nombreux nids de mitrailleuses ainsi que même des tanks. Je réponds de la vie des soldats qui me sont confiés — constata le sous-colonel „Żywiciel”. Dans cette situation je ne peux prendre aucune décision à la légère, c'est pourquoi j'ai accepté la capitulation. Nous éclatâmes: d'où les Allemands connaissent-ils le code? Nous ne croyons pas à toute cette histoire. Elle a été inventée pour nous faire peur, pour que nous capitulions. Le sous-colonel „Żywiciel” répond qu'il a une confiance absolue dans les informations transmises par le colonel „Wachnowski” et prie le commandement de l'Armée Populaire de se joindre à sa décision de capituler. Le chemin menant à la Vistule est fortifié d'une telle manière que même une souris n'arriverait pas à le franchir.

Après un long silence, le commandant Szaniawski répondit qu'il ne pouvait d'aucune manière croire que les Allemands avaient réussi à percer le contenu de nos dépêches chiffrées adressées au commandement de la 1-ère armée de la W.P. à Praga. Une discussion chaotique et lamentable s'ensuivit. Les gens se prononçaient à haute voix contre la capitulation de l'insurrection à Żoliborz mais intérieurement ils étaient pour. Le sous-colonel „Żywiciel” déclara encore que le commande-

ment allemand avait accordé aux insurgés de Varsovie les droits de combattants réguliers. Je lui coupais la parole en lui posant la question suivante: Ont-ils été accordés à tous les insurgés ou uniquement aux soldats et officiers de l'A.K.? „Żywiciel” me répondit que l'engagement des Allemands concernait les soldats et les officiers de toutes les formations de l'Armée de l'Intérieur. Que deviendront les soldats et les officiers de l'Armée Populaire? — demandais-je. — Que deviendront les membres du Parti Ouvrier Polonais, les communistes? Au cours des deux mois qui se sont écoulés nous avons tous vécu légalement. Nous sommes tous parfaitement connus. Le sous-colonel „Żywiciel” assura que les soldats de l'A.L. seront traités à l'égal de ceux de l'A.K., qu'ils se trouveront sous sa protection personnelle et que personne ne les trahira ni les livrera aux Allemands. Je lui répondis que je le croyais mais que je voudrais savoir si il répondait de chacun de ses officiers? Pour toute réponse le sous-colonel „Żywiciel” écarta les bras et ajouta que la réunion est terminée et que chaque officier doit rejoindre son détachement.

Nous commençâmes à sortir du P.C. de „Żywiciel”. Au moment où je passais près de lui, il se leva et me prit par le bras. Il me dit: „Lieute-

nant „Zenon”, ne vous obstinez pas, ralliez-vous à la capitulation. La traversée de la Vistule peut vous coûter cher. Nous n'avons par le droit de gaspiller les vies humaines. Nous sommes nécessaires à la Pologne qui est en train de naître, qui se crée de nouveau”. Je lui répondis: vous connaissez, colonel, notre réponse. Nous ne pouvons la changer. A l'heure prévue nous ferons tout pour atteindre la Vistule. „Żywiciel” me serra la main, comme pour me dire adieu, et ne prononça plus aucune parole.

Pendant ce temps-là les gens couraient dans toutes les directions, s'arrêtaient soudainement, se parlaient à haute voix, certains même criaient. On entendait des pleurs et des sanglots. Plus d'un soldat, plus d'un officier désirait du fond du cœur que tout cela finisse une fois pour toute. Il pensa certainement plus d'une fois, sans oser l'avouer même devant soi-même, que mieux valait capituler que de continuer ce combat insensé et sans espoir. Mais maintenant, quand dans une heure ils pourraient être libres, ils pourraient éviter toutes les horreurs du combat dans Żoliborz encerclés, ils considéraient la capitulation comme une lâche trahison. J'ai vu un soldat jeter à terre avec passion et dégoût son fusil. Il y avait également parmi ceux de l'A.K. des hommes qui considéraient la décision antérieure de rejoindre la rive droite de la Vistule et de faire la jonction avec les troupes soviétiques et polonaises comme une trahison et un parjure. Ils avaient maintenant le dessus. Ils se mettaient en avant et, d'une voix calme, donnaient des ordres.

Devant le dernier P.C. du commandement de l'A.L. nous étions attendus par nos camarades. Ils savaient déjà tout. Leurs visages semblaient tranquilles, mais sous le masque du calme, on sentait qu'ils étaient inquiets et désorientés. Quelqu'un dit à haute voix ce que chacun de nous pensait en silence. Qu'allons-nous faire? Est-ce que nous allons essayer de passer seuls, ou bien devons-nous nous disperser parmi la population civile?

En revenant de la réunion chez le commandant de l'A.K., nous nous étions penchés sur cette question. Nous avions déclaré au sous-colonel „Żywiciel” d'une manière décidée que nous allions forcer le terrain fortifié nous séparant de la Vistule. Nous considérions l'information sur le déchiffrement de notre code par les Allemands comme un instrument de pression et de chantage malhonnête, cuisiné dans quelque service du Commandement en Chef de l'A.K. Nous étions convaincus que „Żywiciel” y croyait. Cependant, ce que nous craignions le plus n'était pas tellement la capitulation unilatérale de l'A.K. La plus grande difficulté devant laquelle nous nous trouvions en ce moment consistait en la dispersion des détachements de l'Armée Populaire qui jusqu'ici,

Suite page 24



PIASEK SKARB BAŁTYKU

Les plages de la Baltique, et plus exactement le littoral sud de celle-ci, sont réputées par la beauté et la finesse de leur sable. Car les vacances au bord de la mer, ce n'est pas seulement l'eau et le soleil, c'est également, si l'on veut s'assurer un repos complet, une plage de sable doux comme du duvet. C'est là l'atout-maître des plages polonaises. Sur une longueur de près de six cents kilomètres, à part les ports et les estuaires des fleuves, partout, à perte de vue, on est ébloui par la blancheur du sable qu'apporte les vagues de la mer. Ces plages et ce sable ont été découverts il y a plus de cinquante ans par les Scandinaves, et plus exactement par les Suédois. Aujourd'hui de nouveau ils sont nombreux sur les plages du nord de la Pologne. Le nombre des stations balnéaires a considérablement augmenté au cours des vingt dernières années; certaines, telles que Sopot, Międzyzdroje, Ustka, Mielno, Darłówek, Ustronie Morskie, Dziwnów, Swinoujście, Kołobrzeg, Łeba, Jurata, Jastarnia, Orłowo, ont une bonne réputation tant en Pologne qu'à l'étranger. A côté de ces stations avec hôtels et pensionnats confortables, on peut passer d'agréables vacances dans les petits ports de pêche du littoral où l'on réussit à avoir la tranquillité à laquelle on avait rêvé pendant tout le reste de l'année.

Depuis plusieurs années, le beau temps régnant sur la Pologne en été a fait que les plages de la Baltique, dont le sable est propice à la sieste (ce qui n'est pas toujours le cas des plages de la Méditerranée), sont de plus en plus attrayantes. Elles sont devenues un véritable paradis pour les enfants, la profondeur des eaux près du rivage est minimale, justement en raison de la quantité du sable qui s'y amasse, on peut y bâtir de magnifiques châteaux que la mer emporte au moment de la marée haute. Un des aspects caractéristiques des plages polonaises consiste en ce qu'elles se trouvent le plus souvent à l'orée des bois de sapins et des taillis. Quand il fait trop chaud ou que l'on veut échapper aux regards trop indiscrets, on peut s'y réfugier. C'est, nous le croyons, un avantage non négligeable.



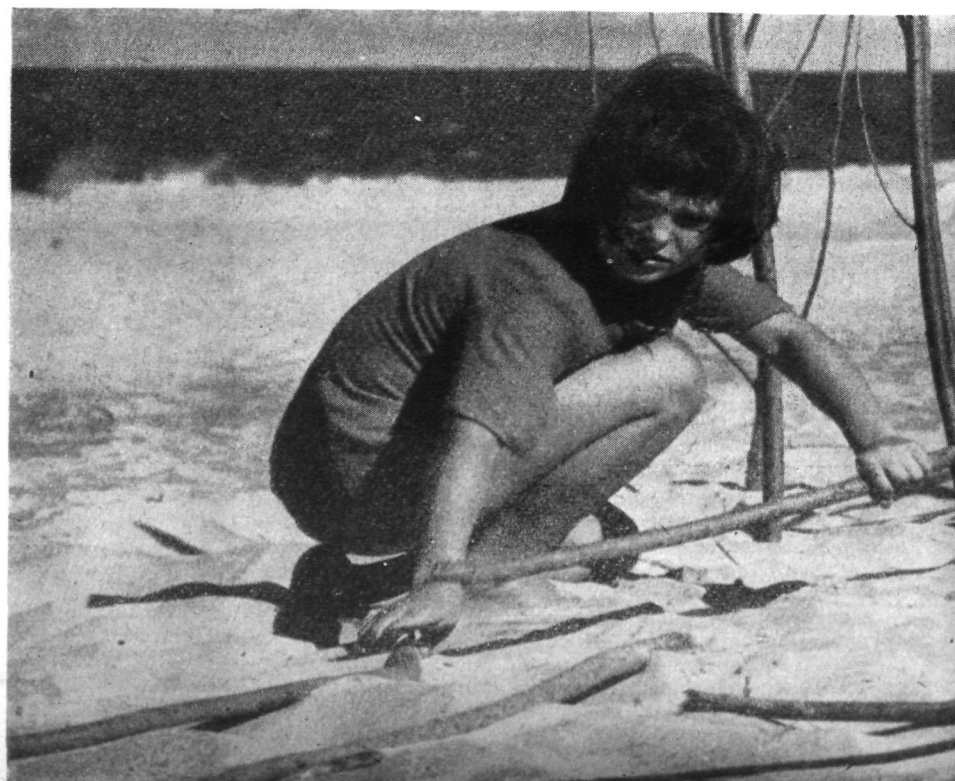
O PRÓCZ CZYSTEJ i ciepłej wody, słońce i piasek stanowią dwa równie ważne jak woda czynniki, nieodzowne do przyjemnego wypoczynku nad morzem. Jedyne nieliczne brzegi morskie na europejskim kontynencie obfitują w masy drobnego złocistego piasku. Do wyjątkowo bogatych w piasek mórz należy Bałtyk, a ściśle jego południowe brzegi, bo północne — aczkolwiek nie można im odmówić piękna, są gołe, skaliste i dzikie. Nic też dziwnego, że w zaraniu masowego ruchu turystycznego przed kilkudziesięciu laty, piaski polskiego Bałtyku odkryli... Szwedzi, uciekając w dni wolne od swych urwistych skał na południową stronę współczesnego morza, głównie w okolicy Kołobrzegu, Międzyzdrojów i Swinoujścia. Ta część nosi nazwę Słonecznego Wybrzeża, jako że temperatury letnie są tu zazwyczaj nieco wyższe niż na Wybrzeżu Gdańskim, piaski bardziej nagrzane, a miejscowe plaże liczyły się wielkością frekwencji Skandynawów, Czechosłowaków i Polaków.

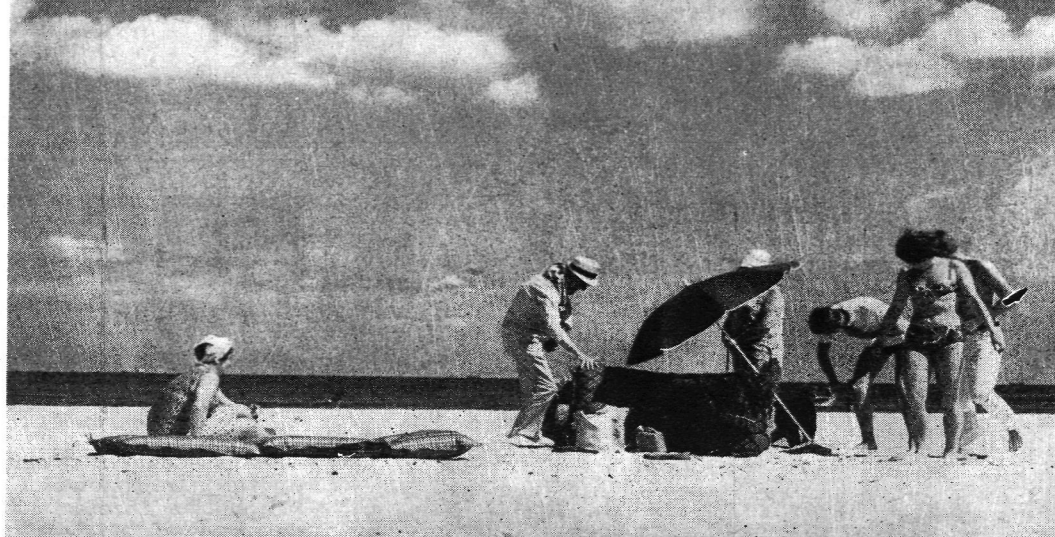
Ale praktycznie, to prawdę mówiąc, całe polskie wybrzeże bałtyckie jest jedną wielką plażą. Od Krynicy Morskiej na Mierzei Wiślanej na wschodzie, aż po Swinoujście na zachodzie przy granicy NRD na Wyspie Uznam.

Z górą 600 km. Ciągące się kilometrami piaszczyste plaże Bałtyku przecinane są jedynie przez uchodzące do morza rzeki, kilka portów i miast. Pozostałe osady ludzkie to z reguły kąpieliska nadmorskie. Jedne o ustalonej renomie, inne rybackie, bez luksusowych hoteli i pensjonatów, ale za to z upragnioną ciszą, gdzie człowiek wypoczywa sam na sam z przyrodą. Do pierwszych należą takie sławy, jak: Sopot, Orłowo, Jastarnia, Jurata, Łeba, Mielno, Darłówek, Ustronie Morskie, Kołobrzeg, Dziwnów, Międzyzdroje i Swinoujście, do drugich — kilkadziesiąt przytulnych, pełnych uroku wiosek. W niejednej okolicy wzdłuż plaż nadmorskich ciągną się piękne bory pełne starodrzewia i bogactw leśnych — ideał campingowego wypoczynku dla zmęczonych zgiełkiem i nerwowym ruchem oraz zatrutym powietrzem wielkich miast.

Ludzie, którzy znają piękne kąpieliska Morza Śródziemnego — na Lazurowym i Włoskim Wybrzeżu, czy też modną ostatnio Riwierę Attycką w Grecji, kiedy znajdują się nad Bałtykiem, witają go pełnym podziwu okrzykiem: „Jakież tu masy pięknego piasku! Gdyby go tak można przenieść na Riwierę!”

Na plaże Riwieri i inne plaże Mo-



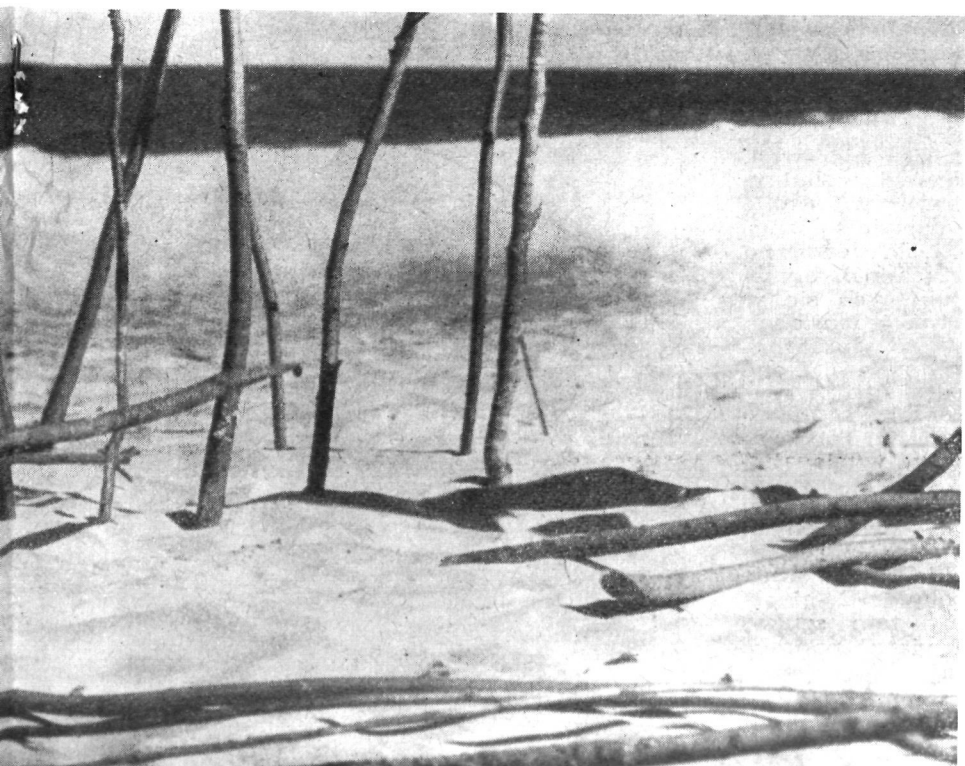


Całymi rodzinami i całymi dniami można wypoczywać na piaskach Bałtyku — jak to widzimy na zdjęciu z lewej i z prawej u góry — zabierając ze sobą na plażę nawet niemowlęta, aprowizację, urządzenia kuchenne oraz zabawki. Tego chłopca — zdjęcie środkowe — wyraźnie zainteresowała konstrukcja wyciągniętej na piasek łodzi rybackiej



ZDJĘCIA: Lech CHAREWICZ

Takie osiągnięcia w architekturze i budownictwie możliwe są tylko w piaskach polskiego Bałtyku. Na niektórych jego odcinkach roi się od tego rodzaju budownictwa, jakie widzimy na zdjęciu powyżej. Zajmują się nim nie tylko młodzieńcy z inżynierską żyłką, ale i piękne dziewczęta i panie, mające przecież okazję do wielu innych rozrywek. Poniżej fragment plaży strzeżonej w Kołobrzegu, której miłośnicy wolą gotowe kosze ostaniające ich z jednej strony od gorących promieni, niż trud własnego budownictwa „ochronnego”



rza Śródziemnego rzeczywiście piasek trzeba dowozić. Ale nie można go dowieźć w ilościach jakimi obdarzył Bałtyk. Wszędzie go pełno. I to najwyższego gatunku. Wypoczywa się w nim jak w puchu. Jakaż to kolosalna różnica, kiedy się pomyśli o twardych skałach brzegów Morza Śródziemnego.

Piaski Bałtyku dają rzadko spotykaną gdzie indziej w Europie (jedynie nad Morzem Czarnym i na niektórych odcinkach Adriatyku) różnorodność wypoczynku. Bo są na nich luksusowo wyposażone plaże i bardzo ustronne i dyskretne zaułki lub kąciaki; obszerne miejsca dla koczowania wieloosobowych rodzin i całych gromad; możliwości do dziecięcej zabawy i budowania z piasku własnych, odgrodzonych od innych „warowni”; można się w piasku bałtyckim tarzać, spać i bawić, można w nim gotować jajka na miękko lub na twardo, podgrzewać mleko, kawę lub herbatę, a kopiąc w jego głębię, i to bez żadnych przyrządów, lecz grzebiąc rękami, zachować zimną temperaturę wody mineralnej lub soku; można się na nim opalać na afrykański kolor, a można też chronić się w sąsiednim lesie przed promieniami słońca, łykać z wiatrem od morza przesycone zdrowotnym jodem i solą powietrze. Wszystko po to, aby nabrać nowych sił!



Adam KRÓLIKIEWICZ, wybitny kawalerzysta, pułkownik wojska polskiego, olimpijczyk, znany na arenach hipicznych obu półkul, chlubnie wpisał się swymi wynikami na karty dziejów polskiego sportu. Zmarł on w 1966 roku przeżywszy 72 lata. Do 71-go roku życia uprawiał jazdę konną i jego ostatnim wyczynem było prowadzenie szarży pod Somosierrą do filmu „Popioły”. Doznał wtedy ciężkiej kontuzji, która przyspieszyła jego śmierć.

Przed dwoma laty zamieściliśmy dwa odcinki sportowych wspomnień płk Królikiewicza pod tytułem „Mój ostatni start”, w których plastycznie przedstawił swe wrażenia z udziału w zawodach w Nicei w 1933 roku. Obecnie uzyskaliśmy prawo wydrukowania kilku fragmentów wspomnień znakomitego olimpijczyka, w których jest mowa nie tylko o sporcie, ale i wielu innych interesujących szczegółach jego życia. Wspomnienia te nie były dotąd w ogóle publikowane.



NIE URODZIŁEM SIĘ „na koniu”, ani nawet w jego bliskim sąsiedztwie. Dopiero w dwudziestym roku mego życia splot wojennych wydarzeń narzucił mi najmilsze towarzystwo tego szlachetnego zwierzęcia.

Miastem mej radosnej młodości był Lwów, gdzie przyszedłem na świat w ostatniej dekadzie ubiegłego stulecia, jako szósty z kolei spośród ośmiu synów moich rodziców.

Konia spotykałem wtedy w dorożce lwowskiego fiakra, bądź ciągnącego mniej lub więcej obładowane wozy. Pielęgnowane zaś wojskowe wierzchowce widziałem maszerujące pod siodłami austriackich ułanów, czeskich dragonów i węgierskich huzarów jego królewsko-apostolskiej mości miłościwie panującego wówczas nad zagarniętą częścią Polski cesarza Franciszka Józefa I.

Zanim burza dziejowa w wyniku pierwszej wojny światowej rozpoczętej w 1914 roku zdecydowała o rozpadnięciu się starej monarchii austriacko-węgierskiej, tj. od chwili, kiedy zaczynam moje wspomnienia z koniem związane — Lwów jeszcze prawie przez ćwierć wieku miał być stolicą „Galicji i Lodomerii” — czyli Małopolski pod rządami Habsburgów.

Obok naszego domu, jednego z nielicznych, w sąsiedztwie tu i ówdzie rzadko stały inne zabudowania. Dzieliły je ogrody, sady, uprawne działki pól, łąki i nieużytki słabo jeszcze w tej stronie rozwiniętej dzielnicy miasta.

Niedaleko tuż pod naszym bokiem, wzdłuż parkanu, za którym widać było zaplecze masywu nowego dworca kolejowego z jego halami warsztatowymi i płataniną torów, biegła pełna wyboi i kurzu w lecie, a w dni słotne błota — dość ważna komunikacyjna arteria, łącząca górną ulicę Grodecką z górną Janowską. Tędy, mijając na dużej przestrzeni rozrzucone koszary artylerii, przechodziły w stronę janowskiego cmentarza smutne konduktu pogrzebowe. Tędy wiódł główny szlak do janowskiego, niedużego lasku, miejsca niedzielnych wycieczek i odpoczynku w pogodne dni lata. Tędy też, przez żelazny most zawieszony nad linią torów kolejowych ciągnęły na ćwiczenia w kierunku rozległych piaszczystych błoni barwnie umundurowane pułki kawalerii, baterie artylerii i oddziały szarej austriackiej piechoty.

Adam KRÓLIKIEWICZ

POCZĄTKI meo JEŹDZIECTWA

W szeregach długiej kolumny różnorodnej narodowości cesarskiego wojska Franciszka Józefa I i pod niemiecką komendą przeważała słowiańska, polska, ruska i czeska mowa. Za sztabem jadących konno wyższych oficerów w pewnej odległości maszerowała pieszko liczna orkiestra z kapelmistrzem na czele. Na samym jej końcu, w ostatnim członie, mały, zgrabny konik wprzęgnięty w miniaturowy dwukołowy wózek ciągnął nieproporcjonalnie duży bęben. Przy jego wybitnym odgłosie — akompaniamentem czynneli i dętych instrumentów słychać było z daleka grzmiące dźwięki marsza. „Banda” — tak w naszej lwowskiej gwarze nazywaliśmy maszerującą orkiestrę wojskową — jak magnes przyciągała okoliczną gawiedź. Zgrażę wyrostków mniejszego i większego kalibru i lat, wśród których nie brakło też różnego wieku lwowskich „batiarów” — asystowała wojskowej kapeli, krok w krok na całej trasie jej marszu. W austriackich mundurach szli ich ojcowie lub bracia, krewni, przyjaciele, koledzy bądź znajomi. Szły w szeregach lwowskie dzieci.

Wtedy, po kryjomu przed rodzicami, uciekałem z domu. Wraz z innymi też biegłem w tej ruchliwej, zbitej ciżbie, śladami długiej kolumny.

Spod tysięcy maszerujących nóg, w rozgrzanym od słońca powietrzu unosił się gęsty tuman szarego kurzu. Konie głośno parskwały, zostawiając za sobą specyficzną ostrą woń swoich ciał i potu.

Któż mógł się wtedy spodziewać, że wielu z nas, tych chłopców towarzyszących obcemu wojsku, wkrótce weźmie udział w wielkiej światowej zawierusze wojennej, że niedługo po niej czeka ich zaszczyt żołnierskiej służby we własnej, wolnej ojczyźnie, a mnie — szczęście pierwszych walk w gronie nielicznej garstki pierwszych polskich kawalerzystów. Gdzieś było postanowione, że kiedyś, po latach drugiej już polskiej wojny, nieoczekiwanie zostanę jednym z czołowych jeźdźców świata. Że mnie, chłopcu z Rycerskiej ulicy Lwowa, przypadnie zaszczyt zapisania w historii olimpijskich zmagani sportowych pierwszego na konto Polski zdobytego indywidualnego brązowego medalu w jeździectwie.

Czy już wtedy przeznaczenie kazało mi biec obok wspaniałych koni lku mej długiej żołnierskiej służbie w siodle, a jednocześnie ku wielkiej sportowej karierze?

Z okien naszego domu widać było w oddali buczyną porośle lesiste wzgórze Kleparowa. Tam, u podnóża, zasilane wiatłym strumykiem utworzyło się uroczysko, schowane w krzakach bajorko-stawek „Barana”, cel naszych wycieczek i wagarów w upalne, gorące lato.

Wyniosły teren ciągnący się nierówną, garbatą linią horyzontu zasłaniał wgląd w dalsze rejony naszych wypraw, w stronę Rzesny Polskiej aż do Brzuchowic — znanej letniskowej miejscowości. W lewo, na rozległej płaszczyźnie otwartych pól, błyszczały w słońcu lustra znajdujących się w bliskim sąsiedztwie trzech tuż jeden obok drugiego prostokątnych stawów popularnego lwowskiego winiarza Stadtmullera. I one też były magnesem naszych ukrytych wypraw. W dobrze nagrzanym wodzie często używaliśmy tam kąpeli, a czasem spod zarostów, poszarpanych brzegów wyciągaliśmy raki.

Ku zachodowi, na dalekim widnokręgu czerniało pasmo mrocznych, wilgotnych „Białchorskich” lasów pełnych pachnących kwiatów konwalii i jakiegoś dla mnie szczególnie tajemniczego uroku. W ciepłą świętojańską noc chodziliśmy tam szukać szczęścia — legendarnego kwiatu paproci. Wierzyłem, że go kiedyś znajdę.

Były to z najwcześniejszej mej młodości chłopięce, radosne wrażenia z najmilszych mi okolic Lwowa. Wprawdzie urozmaicenie rzeźby terenowej i jej pokrycie od przeciwnej południowo-wschodniej strony miasta, za Stryjskim parkiem, Łyczakowem czy za Wysokim Zamkiem w kierunku na Czartowską Skalę lub Winniki było bez porównania bogatsze, to jednak najbardziej nas pociągały te pod bokiem, najbliższe w zasięgu naszej ekspansji leżące okolice.

Odwieczne prawo natury wabiło swym urokiem nie tylko mnie ku rozległym w mej wyolbrzymionej wyobraźni stepom i puszczy leśnej. Za każdym razem drząc z emocji odkrywałem tam pociągający mnie czar przyrody, doznając coraz to nowych wrażeń. Nic dziwnego, że czas nauki wydawał mi się wtedy zmarnowany w niepotrzebnej zgola udreće. Szkoła, jak zmora zaciemniała mi radość chłopięcego życia. W pogodny, letni dzień trudno mi było w jej murach usiedzieć spokojnie. Do nauki — szczerze przyznaję — nie miałem sentymentu ani wielkiej ochoty.

Na szczęście, innego zdania byli moi rodzice. Stopniowo, lecz skutecznie i stanowczo wpajali w nas wszystkich konieczność pracy nad sobą.

Jak większość moich braci miałem się kształcić w przyszłości na inżyniera. Ale los postanowił inaczej. Moje pokolenie z przełomu ubiegłego oraz pierwszej połowy obecnego stulecia — rozwijało się, dojrzewało i żyło w tak niezwykle burzliwym, na zmianę radosnym i twórczym, jak i tragicznie nieszczęsnym okresie lat, że wiele ludzkich planów, koncepcji i zamierzeń musiało ulec nieprawdopodobnie zaskakującym zmianom. Gdzieś tam ukryte drogi naszych przeznaczeń — jak się okazało — miały swój z góry wyznaczony ślad — zupełnie odmienny, nieprzewidziany.

Zanim i mnie los swoją wyraźną ręką dotknął i życiem moim pokierował — spełniałem wolę rodziców. Idąc utartym szlakiem posłuszeństwa, wymuszonego na mnie w sposób nieraz dotkliwy — uczyłem się z konieczności, lecz bez entuzjazmu. Lata szkolne miały mi wolno i nie bez trudu w nauce.

Rodzice moi obarczeni liczną rodziną sami musieli ciężko pracować, by podobać wciąż wzrastającym potrzebom związanym z wy-



chowaniem i ambitnymi planami kształcenia swych ośmiu synów. Wszyscy byliśmy przeważnie dość kłopotliwym stadem nie bardzo potulnych baranków. Nic dziwnego, że ojciec prowadził nas twardą ręką, co znowu nasza najlepsza matka łagodziła wielką dobrocią i troskliwością swego wspaniałego, kierowanego rozsądkiem serca.

Osiągając dojrzałość, a z nią zawód i samodzielność — starsi bracia kolejno wyzwali się spod surowej ojcowskiej dyscypliny i bezwzględnej zależności. Wyrastając i poważniejąc, odpadali z tej, co tu ukrywać — niesamowitej czeredy, pozostawiając młodszemu rodzeństwu część podniszczonych garderoby oraz bogactwo swych doświadczeń — wisielczych kawałów.

Niez mordowaną pracą swego wcześniej zakończonego, utrudzonego życia, oszczędnością i wieloma praktycznymi zaletami — nasi rodzice zbudowali własny, duży dom. Przylegał do niego ogród warzywno-owocowy oraz kawały pól i ornych uprawnych gruntów, co razem wzięwszy, wymagało pewnej ilości roboczych rąk. Tych nasz ojciec nie zamierzał szukać poza swoją liczną rodziną.

Toteż, jak pamięcią sięgnę, od najmłodszych lat — nigdy nie było w domu za mało okazji, by nas w miarę podrastania nie przymuszano do wszelkich gospodarskich czynności, a nade wszystko do pracy i jej poszanowania.

Mimo to i tak ponosił nas nadmiar nie wyładowanego temperamentu, który ojciec energicznie poskramiał w sposób nieraz dotkliwy. A gdy jego zabrakło — rolę opiekuna męskiego i wykonawcy sprawiedliwych wyroków naszej bardzo już schorwanej, najdroższej matki — obejmował z jej polecenia każdorazowo w domu obecny najstarszy brat.

System ten w praktyce zdał egzamin. Okazał się zbawienny dla tej naszej wilczej gromady, z której mieli z czasem wyrósnąć jedni z pierwszych polskich żołnierzy — obrońców Lwowa.

W żywym inwentarzu naszego małego, podmiejskiego gospodarstwa, oprócz dwóch krów, paru sztuk trzody chlewniej i drobiu, kota oraz łańcuchowego psa-stróża, nigdy nie było innych domowych zwierząt. Nie mógł też liczyć się jako użytkowy, starszy już wiekiem, wysłużony koń. Z resztkami grzywy, wytartym ogonem, ślepy na jedno oko, po którym zostało szerniałe, puste miejsce, dosiadany kolejno przez każdego z nas w okresie chłopięcych nim zachwyty — stał w szopie biedny, zapomniany nasz jedyny koń... na biegunach.

Jak się miało kiedyś w nieodgadnionej przyszłości okazać — widocznie i on spełnił swoją jakąś pożyteczną rolę. Jeżeli niewiele mi dopomógł w przygotowaniu jeździeckim, to niewątpliwie w tym kierunku potrafił we mnie wzbudzić nie ujawnione, gdzieś głęboko ukryte zdolności. Dał mi jakiś niejasny przedsmak czekających mnie harców i gonitw, bitewnych wizji, ostatnich bojowych kawaleryjskich działań i klasycznych szarż.

Lecz w owym czasie żaden z nas ośmiu braci nie miał zamiaru poświęcić się zawodowej służbie wojskowej w szeregach i pod „bączkiem”¹⁾ miłościwie panującego nam cesarza austro-węgierskiej monarchii Franciszka Józefa I z dynastii Habsburgów.

Nie mogliśmy też przypuszczać, że po latach nie tak wielu, niezbadanym wyrokiem losu, czterech nas²⁾ będzie w pewnym okresie służyło w kawalerii, trzech³⁾ w artylerii, a jeden, najstarszy — Marian, w oddziałach inżynierskich wojska polskiego. Siłą wojennych wydarzeń, chcąc nie chcąc, wszyscy mieli się znaleźć w siodle na żywym końskim grzbiecie.

★

W ROKU 1914 kończyłem drugi semestr studiów w wyższej szkole technicznej w miejscowości Wittwiede w Saksonii. Nagle w lipcu w Sarajewie, stolicy Bośni, w kraju obecnie wchodzącym w skład Jugo-

¹⁾ bączek — rodzaj dużego metalowego, mosiężnego lub haftowanego złotem (u ofic.) guza z inicjałami Franciszka Józefa I; noszone na wszelkiego rodzaju czapkach w całej armii austro-węgierskiej, podobnie jak u nas orzełek.
²⁾ Tadeusz, Mieczysław, Adam, Waclaw,
³⁾ Kazimierz, Stanisław i Oktawian

slawii — wówczas zaanektowanym przez Austro-Węgry — padł śmiertelny strzał zamachowca, skierowany w austriackiego następcę tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

Choć był to fakt niezwyklego znaczenia politycznego, który poruszył całą Europę, mało kto zdawał sobie wtedy sprawę, jak olbrzymiej wagi następstwa pociągnie za sobą to historyczne zdarzenie, mające być prologiem długoletniej zawieruchy wojennej.

Zanim lawiną potoczyły się wydarzenia o dziejowym znaczeniu i konsekwencjach nie tylko dla całej Europy, z początkiem lata wyjechałem najspokojniej na 2-miesięczne normalne ferie letnie do mego rodzinnego Lwowa.

Tu mnie zastał wybuch I wojny światowej, która w rezultacie 4-letnich ciężkich zmagania miała obalić trony i zmienić mapę Europy.

W następnym numerze „Tygodnika Polskiego” Adama Królikiewicza: **PIERWSZY RAZ W ŻYCIU NA KONIU**

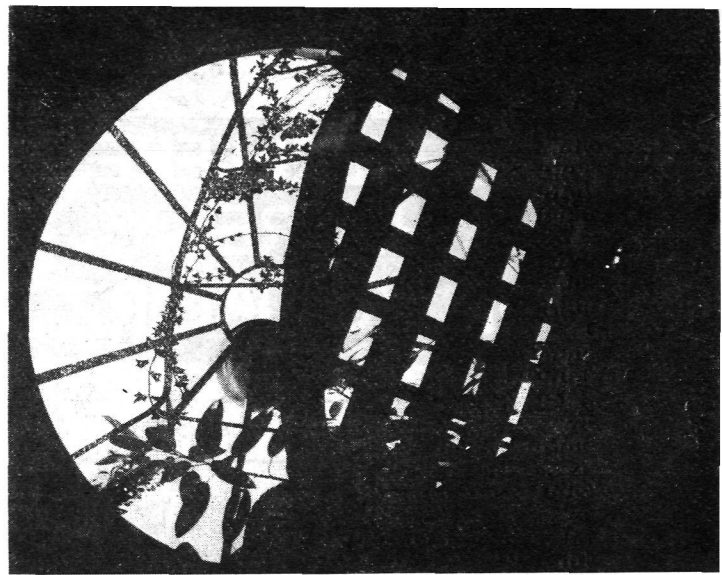
ARCHITEKTURA

KOSMICZNA I LUDOWA

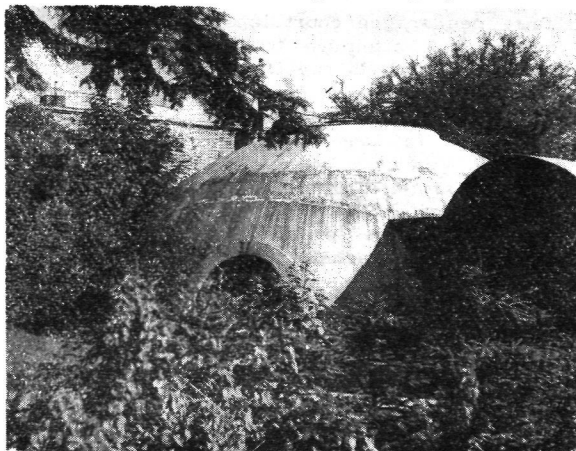


NA SZCZYCIE GÓRY Snieżka w Karkonoszach przysiadł rój latających talerzy. Ale nie ustawili ich tam ani Marsjanie, ani mieszkańcy planet Syriusza. Jest to nowe obserwatorium meteorologiczne, budynek bardzo popularny i wielokrotnie fotografowany przez wycieczkowiczów. Jego autorem jest pan inżynier Witold Lipiński z Wrocławia. Gdy zaś odwiedzamy go pod wrocławskim adresem domowym, znowu spotkamy budynek o niecodziennym kształcie.

Wygląda jak przecięta na pół ogromna piłka ustawiona na ziemi, srebrzyście połyskująca, otoczona zielenią drzew i barwnymi kwiatami. Znowu kosmiczna architektura? Pan Lipiński nie zgadza się z tym określeniem. Wręcz przeciwnie — określa ją jako rdzennie ludową, choć nie regionalną.



Jasne światło pada z góry

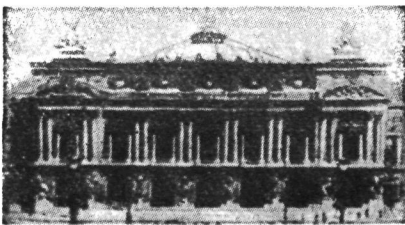


Czy widzieli kiedy Państwo jak się buduje eskimoski domek śniegowy „igloo”? Z mocno ubitego śniegu wykrawa się bloczki jak duże cegły. Na ziemi rysuje się koło. I na jego obwodzie układa się bloczki jeden za drugim, spirala, tak by druga warstwa wspięła się na pierwszą, a równocześnie miała nieco mniejszą średnicę. I tak kolejno z każdą warstwą. W ten sposób powstaje bez żadnych rusztowań półkula kopuła. Można ją u szczytu domknąć całkowicie, można też zostawić okrągły otwór oświetlający, sklepienie nie zawali się, utrzyma własny ciężar.

Taką samą techniką, choć oczywiście nie ze śniegu, budowali domki starożytni Etruskowie, tak buduje się do dziś w ubogich wsiach południa Włoch — w Kalabrii i Apulii, a także w wielu częściach Afryki.

I dokładnie tak samo i to własnymi rękami wznosił swój domek jednorodzinny inżynier Lipiński. Środkowy pokój służy jako jadalnia i bawialnia, stoją tu także w gęstej masie rośliny, tworząc ogród zimowy. Oświetlenie przez górny otwór. Pod ścianami domu oddzielone pokoiki sypialne, kuchnia i łazienka. Zaś na antresoli pod samym szczytem, gdzie wchodzi się po oryginalnych schodach ze stopniami zrobionymi z przepłupanych na pół pniaków sosnowych, mieści się pokój pracy pana inżyniera.

Pan Lipiński chwali sobie dwój domek. Jest nie tylko oryginalny i wygodny, ale przede wszystkim o połowę tańszy, niż wznoszone sposobami tradycyjnymi. Zbudowany jest ze zwykłej cegły, od zewnątrz pokrytej tynkiem i sztucznym tworzywem. We Wrocławiu zrobił furorę, już kilka domków podobnej konstrukcji zbudowano według projektów pana Lipińskiego i ciągle zgłaszają się nowi amatorzy. (JG)



HOTEL OPERA - LAFAYETTE

CATEGORIE **A

RESTAURANT

Dyrekcja: Zenon LUBINSKI

80, rue Lafayette-PARIS^e

Métro: CADET lub POISSONNIERE
Téléfon: 770-43-43 824-41-50

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku

LES DERNIERES HEURES DE ŻOLIBORZ

Suite de la page 19

mélés à ceux de l'A.K. avaient pris part au combat pour la défense de Żoliborz. Il ne nous restait plus beaucoup de temps pour procéder à la traversée. Dans quelques instants commencerait le tir d'artillerie. Que sommes-nous en état de faire pendant ce court laps de temps? Arriverons-nous à atteindre tous les nôtres et les faire venir jusqu'à la rue Dygasiński? Toutes nos questions et tous nos doutes restaient sans réponse. De toute manière, la décision d'effectuer la traversée ne fut pas changée. Nous en informâmes les camarades qui nous entouraient. Nous donnâmes l'ordre aux blessés, malades, affaiblis et civils de laisser leurs armes, de détruire tous les papiers et signes prouvant leur appartenance à l'A.L. et de se cacher parmi la population civile. En raison de la capitulation et de ses conditions, il nous semblait que c'était la meilleure ligne de conduite. Si, comme le déclarait le sous-colonel „Żywiciel”, même une souris ne parviendrait pas à forcer les lignes allemandes, nous n'avions pas le droit de faire prendre de tels risques aux civils. Nous répétâmes à haute voix: ne peuvent participer à la traversée que ceux qui sont armés et décidés à se frayer un chemin dans des conditions particulièrement lourdes.

La directive était claire et nous étions convaincus qu'elle seule était juste. Et pourtant un sentiment d'incertitude commençait à troubler la clarté de notre pensée. Combien de personnes réussissons-nous à rassembler et serons-nous en état d'atteindre la rive droite de la Vistule, pourtant déjà si proche?

Entre temps, le sous-colonel „Żywiciel” reçut la visite d'un représentant du commandement allemand venu recevoir l'acte de capitulation des insurgés de Żoliborz. Bien que quelques heures auparavant peu nombreux parmi les insurgés étaient ceux qui auraient accepté la capitulation, maintenant qu'elle était un fait accompli, la plupart des combattants — c'est l'impression que j'avais — la ressentait comme un véritable soulagement. L'immense majorité des insurgés voulait se battre jusqu'au bout, mais la lutte dans Żoliborz encerclé et totalement isolé n'avait en fait plus aucun sens. Si la traversée de la Vistule pour en atteindre la rive droite devait se terminer par un sanglant massacre, il vaudrait mieux se laisser faire prisonnier. Les hitlériens sont en train de perdre la guerre, ils tiendront certainement leur promesse de traiter les insurgés comme des prisonniers de guerre. On peut attendre la fin de

la guerre dans un camp de prisonniers. La volonté de résister et de continuer la lutte s'en allait donc comme la neige sous le souffle des vents printaniers. La fureur fit place à la résignation. Le commandement de l'A.K. donna l'ordre de cesser le feu et de mettre bas les armes.

Des insurgés se rassemblaient déjà rue Kraśniński prêts à rendre leurs armes aux Allemands et se constituer prisonniers. En un clin d'oeil la situation avait totalement changé. Le sous-colonel „Żywiciel” était devenu prisonnier avant même qu'il ne tomba entre les mains allemandes. Les Allemands ne cachaient nullement leur satisfaction de voir capituler une forte troupe d'insurgés qui aurait pu atteindre la rive droite de la Vistule. Ils considéraient ce fait comme un succès important. Ils s'imaginaient tout au début qu'ils arriveraient facilement à bout des insurgés de Żoliborz. Ils se détrompèrent rapidement. Devant l'apreté des combats, le général von dem Bach proposa au commandement de l'A.K. une capitulation honorable garantissant aux insurgés les droits de soldats réguliers. Le général Källner, qui commandait l'assaut contre Żoliborz, était, lui, fortement déçu, bien que le colonel „Wachnowski”, qui apportait de la part du général „Bór” l'ordre de capituler régla l'affaire à son profit. Cet. impétueux général, commandant une des divisions blindées hitlériennes les plus célèbres, aurait préféré une victoire sur le champ de bataille. De toute manière, les Allemands considéraient comme avantageux le fait que fut enterrée la conception d'une traversée de la Vistule vers sa rive droite par l'ensemble des insurgés de Żoliborz représentant tant l'Armée de l'Intérieur que l'Armée Populaire, conception d'unité nationale née de la lutte commune contre l'occupant qui aurait pu à l'avenir s'opposer à l'organisation de bandes clandestines anti-populaires et aider à une juste réglementation des problèmes embrouillés de l'Armée de l'Intérieur.

Il est difficile aujourd'hui de parler et d'écrire sur ce qui se serait passé si notre conception avait triomphé, si les détachements de l'Armée de l'Intérieur et de l'Armée Populaire avaient forcé en commun la Vistule. Il ne fait cependant aucun doute que la marche des événements aurait été tout de même légèrement différente. Je pense que si la rive droite de la Vistule avait été atteinte par les formations de l'A.K. et de l'A.L. de Żoliborz, nos mots d'ordre et les slogans de la propagande ennemie auraient eu un autre ton, et notre appréciation de l'activité de l'A.K. aurait été dès ce moment certainement différente.

Il ne fait aucun doute que si 2 mille soldats de l'Armée de l'Intérieur, en étroite collaboration avec les soldats de l'A.L. et de la 1-ère armée de l'Armée Polonaise, auraient atteint la rive droite de la Vistule, cela n'aurait certainement eu aucune influence essentielle sur la suite de la guerre, mais cela aurait eu sans aucun doute une profonde influence morale et politique sur notre situation intérieure. On fit tout pour ne pas en arriver là. La capitulation de Żoliborz insurgé, imposée par le commandement de l'A.K. était devenue réalité.

Traduit par H.K.

Tygodniowa GAWĘDA

- W 24 rocznicę
- Krew waży jednakowo
- Pamiętajmy o poległych, nie zapominajmy o katach

Za rok minie lat dwadzieścia pięć, srebrne gody z bohaterstwem i powstańczą śmiercią, srebrne rozstanie z pogrobowcami kunkatorstwa politycznego — bez względu na cenę, którą płacił naród. Oczywiście myśle o Warszawskim Powstaniu, gdy przed licznymi miejscami rozwałek na stolicznych ulicach, dziś w dwudziestą czwartą rocznicę, ludzie kładą kwiaty, zatrzymują się na dłuższą chwilę w milczeniu, a młodzi żołnierze i harcerzyki stoją wyprężeni na baczność. Ich, harcerzyków tych i żołnierzy wtenczas jeszcze nie było na świecie; wiedzą oni o powstaniu — to jeszcze to pokolenie — nie tylko z przekazów książkowych, ale i z opowieści rodziców, o innych harcerzykach, którzy w zdobyczym hełmie, spadającym na oczy, odgarnianym niecierpliwym ruchem, przebiegali pod gradem kul z meldunkiem, o innych żołnierzach, którym za mundur służyła biało-czerwona opaska, a za jedyną broń często butelka z benzyną. Cóż by oni dali za te automaty, które dziś, w kolejną powstańczą rocznicę służą do reprezentacji, trzymane są dla honoru!

Barczo wiele książek o Powstaniu Warszawskim 1944 roku ukazało się w Kraju, powstańcy pisali wspomnienia, historycy pozbiierali dzień po dniu przebieg wydarzeń, działacze spierali się o ocenę. Przypomnijmy co nieco:

„Dziewczyna z czołgu” opowiada:
„...Spędzili nas z Szopena na Szuca. Tam byłem dwa dni. Ze mną tysiące ludzi. Potem ustawili nas, kilkadziesiąt osób przed czołgami i kazali iść. Jakaś kobieta z dzieckiem, właśnie usnęła jej na rękę, krzyczała wtedy, że dobrze, że jeszcze i ten wymysł przyczyni się do ich klęski. Krzyczała po niemiecku. Zastrzelili ją.

— Czyśmy się bali? Nie wiem. Po prostu nie było na to czasu, zresztą ja patrzyłam tylko, żeby uciec, jakoś tak wierzyłam, ale nie było gdzie... ale mi było tak głupio umierać, gdy się przeżyło tyle. Szli też mężczyźni, młodzi i starzy, kobiety i dzieci. Mężczyźni byli bardzo pobici, tak że ledwo mogli iść. Wzięłam jakąś małą dziewczynkę, która płatała się, nie wiadomo czyja. Usnęła mi na rękę”. (Joanna Żwirska — „Ogień i druty”).

„W drzwiach prowadzących na klatkę schodową leżał konający Niemiec. Haczyk konieczny chciał mu zabrać broń. Rzucił więc granat w drzwi od klatki schodowej i ze szmagierem w ręku skoczył do pierwszego pokoju. W tym momencie rozległ się pojedynczy strzał pistoletu. To pierwszy Niemiec, który był tylko ranny, strzelił do Haczyka, lecz na szczęście nie trafił. Krótka seria z peemu uspokoiła go ostatecznie. Z drzwi Haczyk rzucił jeszcze jeden granat na klatkę schodową i wciągnął do środka leżącego tam Niemca. Przeździurę w murze, w której stał erkaem Zbika, przelazł do nas Jurek i we dwóch pozbiieraliśmy broń”. (Stanisław Komornicki — „Na barykadach Warszawy”).

„Warszawskie dowództwo AL wydało rozkaz swym oddziałom, by ujawniły się i walczyły ramie przy ramieniu z żołnierzami AK. Świadomi byliśmy tego, że chociaż powstanie wybuchło przedwcześnie, że chociaż inne, sprzeczne z interesami narodu cele polityczne przyświecały jego organizatorom, to w walce tej należy zespolic wszystkie żywe i demokratyczne siły narodu”. (Zenon Kliszko — „Powstanie Warszawskie”).

„Historycy toczą spór o to, czym właściwie jest Powstanie Warszawskie... Czy krew poległego pułkownika jest czym innym niż krew szeregowego żołnierza, ponieważ pułkownik ginął za koncepcję, a żołnierz — po prostu za Polskę...

Niewiele sensu w takich wątpliwościach” (Zbigniew Żalusi — „Czterdziesty czwarty”).

I jeszcze na zakończenie ten fragment:
„Polski prokurator: „Jeżeli mogę zreasumować to, co pan odpowiedział na moje pytania, zrekonstruowany w tym przesłuchaniu rozkaz Himmlera brzmiał następująco: 1) Ujętych powstańców należy zabić bez względu na to, czy walczą zgodnie z Konwencją Haską, czy ją naruszają; 2) nie walcząca część ludności, kobiety i dzieci, ma być również zabijana; 3) całe miasto ma być zrównane z ziemią, to jest domy, ulice, urządzenia w tym mieście i wszystko, co się w nim znajduje.”

Generał Erich von dem Bach Zelewski: „Tak jest panie prokuratorze... Rozkaz zrównania Warszawy z ziemią był rozkazem führera, rozkaz zaś, dotyczący zniszczenia ludności cywilnej i powstańców pochodzi od Himmlera”.

I cóż? Dostyc cytowania. Przecież to wszystko wiemy. Tyle że powstańcze harcerzyki, gdyby nie zginęły, byłyby dziś ludźmi w pełni rozkwitu sił, żołnierzami i cywilami, zgładzeni przez zbrodniarzy, żyliby w wolnej ojczyźnie, a wielu rozkazodawców zbrodniarzy, którzy ich wymordowali, opływa w dostatki, pobiera renty, działa politycznie w NRF!

Pamiętamy o naszych poległych, nie zapominamy i o katach.

MARIAN



JAK ŻEGNALI DZIECI W LILLE



KILKA samolotów zawiozło nasze dzieci na wakacje do Kraju. W Lille, podobnie jak w Metz i Lyonie żegnano dzieci bardzo serdecznie. Dany Jarmużek z Roubaix pojechała na kolonie do Łodzi. Na lotnisku w Lille sfotografowała załogę polskiego samolotu, który zawiózł ją oraz koleżanki i kolegów do Polski. W tłumie dzieci spotkaliśmy Jean-Luc Gondka z Arras. Odprowadzali go nie tylko ro-

dzice i babcia, ale także ulubiony pies „Venus” — pirenejski owczarek, który bardzo się wszystkim podobał. Widzieliśmy się na lotnisku również z naszą Czytelniczką Danielle Siwek z Roubaix, która w ubiegłym roku była w Olsztynie. Była bardzo zadowolona ze spędzonych w Kraju wakacji.

(Fotoreportaż z odlotu dzieci z Lille na kolonie letnie do Polski zamieścimy w następnym numerze „Tygodnika Polskiego”).

i w LYONIE

125 enfants de Lyon partent en Pologne

L'«Hyacinthe» de juillet s'est posé, hier matin, à l'aéroport de Lyon, et il est reparti avec à son bord 125 enfants, polonais et français, d'origine polonaise, qui vont passer en Pologne une partie de leurs vacances. Des centaines les attendent dans les plus belles contrées du pays : à Gdynia, Gdańsk, aux environs de Bydgoszcz et Łódź.

Les parents et les représentants d'organisations françaises et polonaises étaient présents à l'aéroport pour souhaiter de bonnes vacances aux enfants et assister à l'envol de l'«Hyacinthe», ligne aérienne polonaise. «Lot». On notait notamment la présence de M. Stanislas Goleczek, vice-consul de Pologne.

Gen. Goleczek, vice-consul de Pologne.
Louis - Stanislas Goleczek (27), Le 14
Maire Henri COLLE
à la Cour, et Madame
Philippe GIRARDOT et Madame
sont heureux de vous faire part de
fiancailles de leurs enfants Micha-
el Paul Lyon, 2 juillet 1968, et Ma-
rie-Jacques, 011 Bellefleur de Grand-
Nyon.
On nous prie d'annoncer les
fiancailles de Laurence MEYNIER,
fille de M. et Mme Pierre MEYNIER,
avec Christian PIN, fils du Docteur
Georges PIN, Docteur, et de Madame
G. PIN, Paris, Grenoble.
MARIAGES
On nous prie de rappeler que
le mariage de Mlle Anne - Marie
STAPILLÉ et de M. Philippe SEVIN
sera célébré le samedi 12 juillet, à
18 h à la Courbevoie (92).



MNÓSTWO osób żegnało nasze dzieci odlatujące na wakacje do Kraju z Lyonu. Piękny srebrny samolot Polskich Linii Lotniczych „LOT” zawiózł do Polski 125 dziewcząt i chłopców.

Prasa francuska poświęciła dużo uwagi wyjazdowi na kolonie naszych dzieci. Lyonński dziennik „Dernière Heure” zamieścił duże zdjęcie z odlotu dzieci i informację na ten temat. Fragment wspomnianej gazety przedrukujemy powyżej.

Dzieci z Lyonu wylądowały bardzo punktualnie w Poznaniu, skąd rozwie-

ziono je do miejsc kolonijnych. Obecnie wypoczywają w wielu pięknych miejscowościach. Jedne są na koloniach nad Bałtykiem w Gdańsku i Gdyni. Inne wypoczywają wśród lasów Bardo Śląskiego. Są także na koloniach w Łodzi i w Toruniu.

Jak już informowaliśmy, dzieci spędzające wakacje na koloniach w Polsce nie tylko wypoczywają i bawią się, ale również biorą udział w licznych wycieczkach i poznają piękny Kraj swych ojców. Na pewno wakacje spędzone w Polsce będą dla nich niezapomniane.



W „TRANSTOURS” W LILLE SEZON W PEŁNI

GRUPAMI i pojedynczo wyjeżdżają Polacy i Francuzi coraz liczniej do Polski. Biura podróży są przepełnione. Informujących się, załatwiających formalności związane z bonami pobytowymi, bonami benzynowymi, wykupujących bilety kolejowe jest bardzo dużo.

Biuro Podróży „Transtours” w Lille cieszy się wielkim powodzeniem. Co środę niemal, raz w tygodniu, wyjeżdża z Lille wagon „Transtours” do Poznania. Uczestnicy tych zbiorowych wyjazdów wybierają pociąg jako środek lokomocji, i to drugą klasę, aby jak najtaniej odbyć podróż. Warunki jednak mają zupełnie dobre. Do 80-osobowego wagonu wsiada zaledwie 50—60 osób, a więc miejsca jest dosyć.

Druga, niemal taka sama liczebnie grupa turystów wyjeżdża do Polski samochodami. Małżeństwa polskie i polsko-francuskie, Francuzi interesujący się Polską, młodzież pragnąca uprawiać camping na Pojezierzu Mazurskim, w górach, nad morzem.

— Wyjazdy odbywają się już od wielu tygodni — informuje nas p. Janina Zuwał, kierowniczka biura. Nawet w okresie strajków wyjazdy odbywały się nieprzerwanie. Z Lille do Brukseli przewoziliśmy naszych klientów autobusami, a dalej — pociągami do Polski. Mamy coraz więcej turystów indywidualnych, ale większość stanowią ciągle grupy.

Spośród wiernych klientów Francuzów wymienia p. Zuwał inżyniera Blancharda z Saint-Quentin. Jest on dosłownie zakochany w Mazurach. Nigdzie jeszcze — twierdzi — nie spędził tak wspaniałych wakacji jak w tym właśnie regionie Polski.

Biuro „Transtours” w Lille załatwia również i formalności związane z podróżami Polaków do Jugosławii, na Węgry, do Niemiec, do Kanady i Stanów Zjednoczonych. Są to przeważnie wyjazdy w celu odwiedzenia rodzin. Co pewien czas zgłasza się klient wyjeżdżający na stałe do Polski.

— Wielkie wrażenie na Francuzach odwiedzających Polskę wywiera polska gościnność — opowiada p. Zuwał. — Zapraszają do domu nawet zupełnie nieznanymi ludzi, przyjmują kolację, ofiarowują prezenty. Gościnność zupełnie w świecie nie spotykana. Inż. Blanchard mówi, że gdy przejdzie na emeryturę, pół roku będzie spędzał zawsze w Polsce, na Mazurach z wędką w rękę.

Zainteresowanie Polską jest stale bardzo duże. Coraz nowi klienci zgłaszają się, aby wziąć prospekty, poinformować się na temat polowania w Polsce, konnej jazdy i innych sportów. 80 studentów z Uniwersytetu w Lille jedzie zbiorowo w tym roku na parę tygodni turystyki i odpoczynku. Ci, którzy już byli w Polsce, piszą listy z podziękowaniami za dobre zorganizowanie podróży i za miły pobyt w Kraju nad Wisłą i Odrą.

Biuro „Transtours” również nie zapomina o swych dawnych klientach i z okazji Nowego Roku rozsyła im drobne upominki w postaci wyrobów polskiego przemysłu ludowego. Jest tych klientów coraz więcej. Po jednej podróży mają chęć odwiedzić Polskę ponownie. Dobrze im tam było, toteż wracają z wielką ochotą.

P. Zuwałowa i p. W. Zmunda sprawdzają ważność poszporthów, wiz, aby nie narazić klienta na kłopoty w podróży



P

BANK**POLSKA KASA OPIEKI S. A.****23, rue Taitbout—
PARIS IX-ème****Tél. 824-42-02****Métro: Chaussée d'Antin**

K

◆ *Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.*

◆ *Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze, jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce.*

Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.

◆ *Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zaproszonych z Polski do Francji.*

◆ *Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.*

◆ *Na żądanie wysyłamy nasze prospekty, cenniki i materiały informacyjne.*

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa**BANK PKO S. A.****23, Taitbout PARIS IX-ème**

Jadąc szosą państwową numer 145, spotykamy słupek, na którym widnieje napis „lieudit La Polka”

„LA POLKA”

Pp. Famin mają zamiar odnowić wkrótce dom. Obiecują, że napis „La Polka” zostanie na domu zachowany

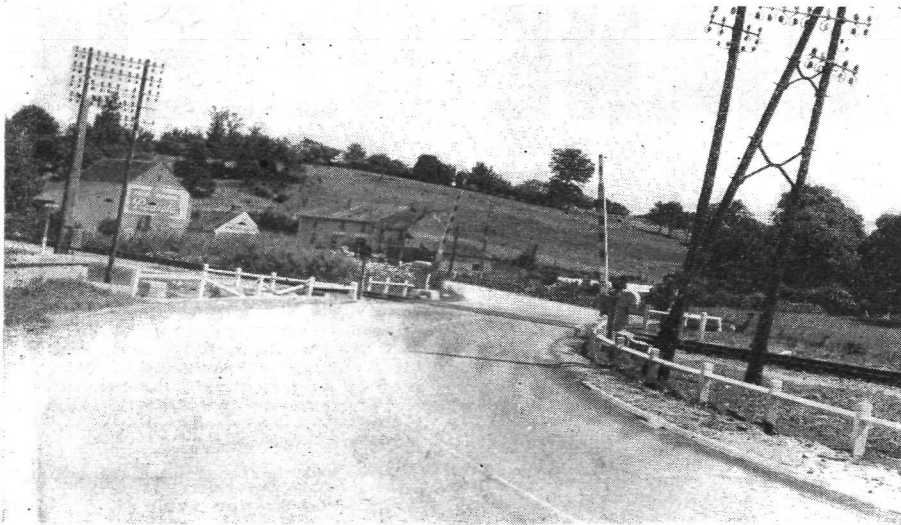
Turystę przejeżdżającego szosą nr 145 z Montluçon do Moulins spotyka pod koniec tej podróży ciekawa niespodzianka. Jeśli turysta ten interesuje się historią, zabytkami polskimi i śladami polskiej obecności we Francji, niespodzianka ta będzie szczególnie interesująca. Zachęci go do przerwania podróży, zatrzymania się nagle w zagubionej wsi i rozpoczęcia poszukiwań dla wyjaśnienia pasjonującej zagadki.

Przy tej właśnie szosie, już na terenie kantonu Moulins-Est, koło miejscowości Souvigny, stoi stary, z kamienia budowany dom z napisem wymalowanym wielkimi czarnymi literami „La Polka”.

Obecnym właścicielem domu jest p. Louis Famin, pracownik liceum rolniczego w Moulins. Nabył on ten dom przed trzema laty i dokonał pewnych przeróbek wewnątrz. Przedtem mieścił się tutaj café-tabac p. Jean Vizier — rodzaj wiejskiej oberży, gospody przydrożnej. Zatrzymują się do dzisiaj w tym miejscu autobusy Citroën, obsługujące linię Montluçon-Moulins. Dawniej przejeżdżały tędy konne dyliżanse i tutaj również miały swoje miejsce postojowe. Żelazne kółka przytwierdzone do muru na fasadzie domu wskazują, gdzie przywiązywano konie.

Adaptując dom na potrzeby mieszkalne p. Louis Famin podzielił ściankami działowymi na mniejsze pokoje wielką salę, która stanowiła zasadniczą część gospody i w której — jak fama głosi — zbierali się ludzie, aby tańczyć. Dom jest solidny, budowany z kamienia, stropy opierają się na potężnym belkowaniu. Obecny właściciel ocenia wiek domu na około 200 lat.

— Za moich czasów tańców już w wielkiej sali nie było — mówi p. Jean



Dwa małe zespoły budynków po obu stronach szosy i przejazd kolejowy. Całość nosi nazwę geograficzną „La Polka” — pochodzenie jej jest tajemnicą

SPOD MOULINS

Vizier. — Stały tam stoły bilardowe. Przedtem jednak mogły się tutaj odbywać zabawy, zebrania. Był także warsztat kołodzieja, który naprawiał koła przejeżdżających dylizansów, wozów i karet.

P. Vizier zajmował dom od 1930 do 1963 roku, wynajmując go od p. Bellavoine. Napis „La Polka” znajdował się na murze zawsze, odkąd pamięta i odkąd pamiętają najstarsi ludzie z okolicy. Pytał p. Vizier o to również i poprzedniego właściciela posesji, p. Felixa Bellavoine, który znał te okolice od bardzo dawna, a zmarł w wieku 97 lat. Nazwa „La Polka” istniała zawsze. Nikt się jednak nad jej pochodzeniem nie zastanawiał. Gdy napis na fasadzie gospody zacierał się, pod wpływem deszczu, odnawiano go, odmalowywano, nie stawiając sobie przy tym żadnych pytań.

Gdy dzisiaj ciekawość ludzi odnośnie nazw ogromnie wzrosła, gdy pytanie: skąd się to wzięło? — stawiane jest o wiele częściej niż dawniej, nasuwają się mieszkańcom okolicy różne hipotezy. Jeśli w tej starej gospodzie odbywały się zabawy taneczne, być może tańczono tu między innymi i polkę. Może nawet polka stanowiła wybrany, ulubiony taniec tutejszej ludności i stąd wzięła gospoda nazwę „La Polka”? Takie wyjaśnienie nasuwa się p. Famin, p. Vizier. Tak również twierdzi miejscowy nauczyciel i jednocześnie sekretarz gminy Coulandon p. Georges Chatelut. W archiwach gminy Coulandon nie ma niestety żadnych dokumentów, które by pozwoliły na jakiegokolwiek wyjaśnienie tajemniczej nazwy.

Zastanawiające jest jednak, że nazwę „La Polka” ma nie tylko dawna gospoda, obecna posiadłość p. Louis Famin. Tę samą nazwę mają również zabudowania znajdujące się po przeciwnej stronie szosy, a także i przejazd kolejowy: „le passage à niveau La Polka”. Mamy tu więc nie tylko nazwę jednego domu, ale całej osady. Mówi się tu powszechnie o „lieudit La Polka”. Tak się adresuje listy i tak się określa miejscowość. A więc istnieje — i to od bardzo dawnych lat — nazwa geograficzna La Polka, figurująca w oficjalnych adresach pocztowych i na mapach drogowych.

Nie jest możliwe, aby stworzyła tę nazwę emigracja polska z lat międzywojennych, którą nazywamy dziś potocznie „starą emigracją”. Nazwa jest o wiele dawniejsza. Potwierdza nam to poprzedni sekretarz merostwa gminy Coulandon, p. Amédé Grenier. Gdy zajmował to stanowisko, spotkał się

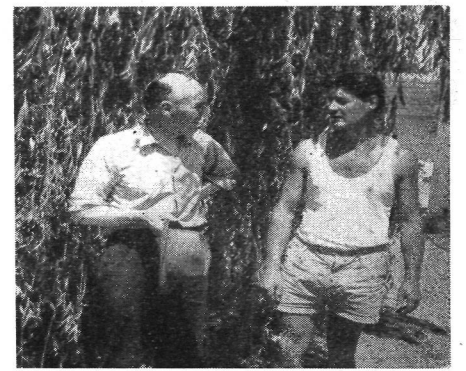
z wzmiankami na temat zebrań, które odbywały się w starym domu w roku 1851, w momencie zamachu stanu i ogłoszenia II cesarstwa. Ludność okoliczna opowiadała się za republiką, manifestowała przeciw Napoleonowi III. Pozostały ślady pisane po tych zebraniach, wzmianki o przemówieniach i okrzykach przeciwko cesarzowi. Świadkiem ich była wielka sala oberży, która nosiła już wówczas nazwę „La Polka”. P. Grenier zwraca również uwagę na fakt, że w tych okolicach wsie o zwartej zabudowie powstawały bardzo późno. Pierwsze osiedla na terenie gminy Coulandon i na terenie gmin sąsiednich budowane były niemal wyłącznie wzdłuż dróg łączących większe skupiska. Każde z tych drobnych osiedli miało swoją nazwę. La Polka jest jedną z nich.

Pochodzenia nazwy La Polka nie można niestety wyjaśnić nawet i w archiwach departamentu Allier w Moulins. Istniała ona zapewne już w początkach ubiegłego stulecia. W słowniku nazw miejscowości zamieszkanych, który opracował archiwista departamentalny XIX w. Chazaud, wymieniana jest nawet La Polka dwukrotnie, jako nazwa osiedla (locaterie) oraz nazwa winnicy. W związku z historią gminy Coulandon można by znaleźć dokumentów dużo więcej. Były tu kamieniołomy, z których budulec, rodzaj różowego granitu, służył jako materiał do wznoszenia kościołów

i pałaców w Moulins. Przebiegał tędy kiedyś w początkach naszej ery gościniec zbudowany przez Rzymian. „Annales Bourbonnaises” — naukowy periodyk historyczny, archeologiczny i artystyczny, wydawany w Moulins od wielu dziesiątków lat, podaje z 1888 roku, iż 1927 roku sprawozdania z prac badawczych i wykopalisk archeologicznych, których wyniki były bardzo obfite i pozwoliły na zrekonstruowanie przeszłości regionu niemal od początków naszej ery.

Jednakże wiadomości, które by pozwoliły na stwierdzenie obecności tutaj Polaków — brak. Mieszkał tutaj niedawno rolnik polski p. Mazur. Pamiętają go jeszcze wszyscy mieszkańcy osiedla La Polka. Ale to sprawa zupełnie nowa. Czy mieszkali tu dawniej jacyś inni Polacy? Czy mieszkała tu może jakaś Polka, która zaletami swego charakteru, pracowitością, odwagą, dobrocią, a może niezwykłą urodą zyskała sobie taką popularność, taką sympatię ludności, że miejscowości tej nadano nazwę La Polka?

Na te pytania nie znajdujemy odpowiedzi. Czy polski taniec narodowy, czy kobieta — Polka są źródłem tej nieoczekiwanej odnalezionej nazwy — nie potrafi odpowiedzieć już nikt. Ani mieszkańcy osiedla, ani archiwiści



P. Louis Famin, właściciel domu (po prawej) i p. Amédé Grenier chcieliby pomóc nam w wyjaśnieniu tajemnicy

i ich pieczołowicie przechowywane dokumenty w Moulins. Być może odnajdzie się w przyszłości jakiś nowy dokument, który rzuci światło na tę intrygującą tajemnicę. Na razie pozostaje tylko możliwość snucia domysłów, dopełniania faktów wyobraźnią. Zebrałiśmy skrętnie tylko to, co dziś istnieje i czego ludzie jeszcze nie zapomnieli. Resztę, jak mówi Mickiewicz, „czyży słuchacz w sercu swym dośpiewa”.

T. D.



Gdy p. Jean Vizier prowadził gospodę „La Polka”, można było zobaczyć wielką salę taneczną w całości. Obecny właściciel podzielił ją na małe pokoiki

Dom stary, budowany z kamienia. W miejscu dawnego postoju dylizansów zatrzymują się dzisiaj autobusy





N O W Y P O Z N A Ń

JADĄC z północnych, środkowych i wschodnich departamentów Francji czy Belgii do Kraju przejeżdżamy przez stolicę Wielkopolski — Poznań.

Jak wynika z badań archeologicznych — pierwszy gród, z którego powstał załazek miasta, zbudowano w drugiej połowie IX w.

Oczywiście wielu Rodaków zna to historyczne miasto, które dziś należy do największych ośrodków przemysłowych, kulturalnych i naukowych w Kraju.

Poznań od kilkudziesięciu lat, dzięki organizowanym tu co roku Międzynarodowym Targom Poznańskim, stał się miejscem rendez-vous najpoważniejszych firm handlowych całego świata.

Miasto jest bogate w zabytki. Do najcenniejszych należy katedra z licznymi pomnikami nagrobnymi. Tu, w Złotej Kaplicy, zbudowanej według projektu włoskiego architekta Lanciego, znajduje się wspólny grobowiec z prochami pierwszych królów polskich — Mieszka I i Bolesława Chro-



bręgo i ich pomniki dłuta Raucha, ufundowane przez Edwarda Raczyńskiego.

Najpiękniejszym zabytkiem jest odbudowany renesansowy ratusz, który podobnie jak 80 procent Starego Miasta i ponad połowa całego miasta, został zniszczony podczas II wojny światowej.

Znamy stary Poznań. Ale to bliskie sercu każdego Polaka miasto nie tracąc swego charakteru zmienia swoje oblicze. Powstaje nowy Poznań. Wyrastają nowe dzielnice. Miasto pięknieje. W sąsiedztwie starych domów strzelają w niebo lekkie wieżowce ze szkła i aluminium.

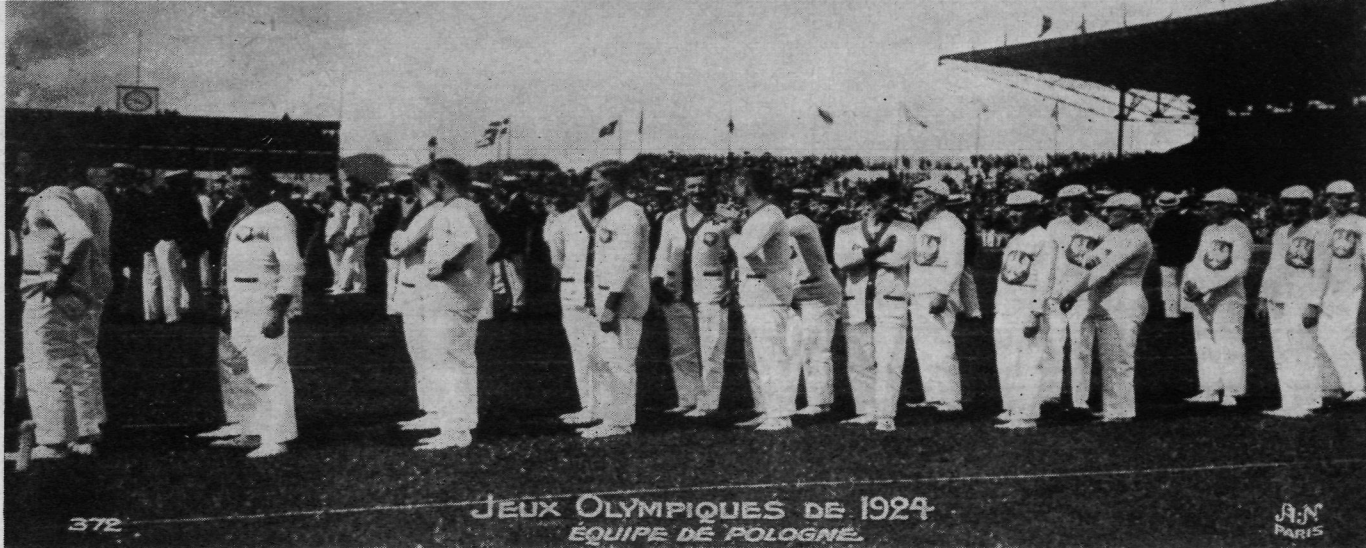
Przy nowych budowach zastosowano montaż ścian osłonowych z gotowych segmentów. Rosną nowoczesne 11-piętrowe domy mieszkalne, budynki handlowe, wielkie samoobsługowe domy towarowe.

Dla wielu starych poznaniaków, którzy przez kilka lat miasta nie widzieli, Poznań będzie nie do poznania.

W. K.

TOUS nos amis se rendant du Nord de la France et de Belgique en Pologne passent par Poznań. Ils ont donc l'occasion de prendre connaissance avec une des villes les plus anciennes de Pologne (les fouilles archéologiques ont permis d'établir que la cité existait déjà au moins au IX-ème siècle) qui aujourd'hui est devenue un important centre industriel, culturel et commercial. Mais les habitants de Poznań ne vivent pas uniquement du passé, c'est pourquoi ils suivent avec intérêt l'essor de leur métropole qui s'étend de plus en plus grâce à la construction de nouveaux quartiers d'habitation de plus en plus modernes. A la place de la pierre on voit naître tous les jours de nouvelles bâtisses en béton, aluminium et verre. Si vous revenez dans un an ou plus, vous ne reconnaîtrez plus la ville que vous croyez si bien connaître.





Ekipa polska podczas uroczystości otwarcia Igrzysk Olimpijskich w Paryżu w roku 1924

Udział polskiej ekipy narodowej w olimpiadach (I)

W PARYŻU i w AMSTERDAMIE

PO RAZ PIERWSZY w historii olimpiad polska ekipa narodowa wzięła udział w VIII Igrzyskach Olimpijskich w Paryżu w 1924 r. Drużyna olimpijska Polski nie była zbyt liczna, zawodnicy nie mieli dostatecznego doświadczenia w startach na wielkich międzynarodowych imprezach sportowych. Ale już wtedy na liście olimpijczyków wpisano pierwsze polskie nazwiska, a na konto olimpijskie Polski dwa pierwsze medale. Wywalczyli je: drużyna kolarska torowców w wyścigu na dochodzenie na dystansie 4000 metrów — Jan ŁAZARSKI, Tomasz STANKIEWICZ, Józef LANGE i Franciszek SZYMCZYK (medal srebrny) i w konkursie skoków na koniu, Adam KRÓLIKIEWICZ (medal brązowy).

Adam Królikiewicz był doskonałym jeźdźcem i po cichu liczono na jego wysoką lokatę, ale torowcy nie byli w ogóle brani pod uwagę z racji tego, że nie znali konkurencji, w której mieli startować (w Polsce nie była wówczas znana), a także z uwagi na renomowanych i silnych rywali: Włochów, Francuzów, Belgów i innych. Na torze w Vincennes Polacy łatwo pokonali Łotwę, ale przegrali z Belgią. Ponieważ uzyskali najlepszy czas wśród zespołów pokonanych, w ćwierćfinale zakwalifikowali się jednak do półfinału. I tu trafili na faworytów — Francuzów. Po przejechaniu 1000 metrów Francuz Schury przebił gumę, a z drużyny polskiej odpadł najslabszy Stankiewicz, ale pozostała trójka sprostała trudnemu zadaniu i wyeliminowała Francję ku ogromnej radości licznie zgromadzonych na widowni Polaków. Na finałowy bieg i walkę z drużyną włoską przybyła cała paryska kolonia polska, opuszczając nawet hipodrom na stadionie Colombes, gdzie duży sukces odniósł Królikiewicz. Włosi byli jednak nie do pokonania. A więc Polakom przypadł pierwszy srebrny medal. Nieoczekiwany, ale może dlatego tak cenny.

Lekkoatletom, startującym pod wodzą francuskiego trenera Maurice Baqueta, nie wiodło się w Paryżu. Mimo niezłych wyników w kilku konkurencjach, nie zdołali wywalczyć żadnego medalu.

Warto podkreślić wielką radość licznej Polonii zamieszkującej Paryż z samego faktu startu Polaków na Olimpiadzie. Ekipa zamieszkała w gmachu szkoły Batignolskiej przy rue Lamandé, była wszędzie serdecznie witana i goszczona wspaniale.

PIERWSZY START olimpijski przyniósł skromne rezultaty, ale rokował najlepsze nadzieje. Już na IX Igrzyskach Olimpijskich w Amsterdamie polska ekipa zdobyła pięć medali, w tym pierwszy złoty. A wywalczyła go we wspaniałym stylu w klasycznej konkurencji rzutu dyskiem świetna sportsmenka Halina KONOPACKA. Mistrzyni Polski w rzucie dyskiem i pchnięciu kulą, rekordzistka w skokach i wieloboju spisała się doskonale. Nie tylko pokonała groźną rywalkę Amerykankę Colepand, ale ustanowiła rekord świata wynikiem 39,62 m. Po raz pierwszy stadion olimpijski wysłuchał dźwięku „Mazurek Dąbrowskiego”, a biało-czerwona flaga wywie-

siona została na najwyższy maszt olimpijski. Trzeba dodać, że Konopacka była jedną z pionerek walczących o pełne prawa kobiet w ruchu olimpijskim, o co w latach dwudziestych energicznie zabiegała Międzynarodowa Federacja Sportu Kobiecego.

Srebrny medal dla Polski zdobyli jeźdźcy startujący w konkursie drużynowym o „Puchar Narodów”: Michał ANTONIEWICZ, Kazimierz GZOWSKI i Kazimierz SZOSLAND. Drugi medal — brązowy zdobyła również drużyna jeździecka startująca we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego w składzie: Michał ANTONIEWICZ, Karol RÖMMEL i Józef TRENKWALD.

Kolejny medal brązowy wywalczyła drużyna szablistów: Tadeusz FRIEDRICH, Kazimierz LASKOWSKI, Aleksander MAŁECKI, Adam PAPEE, Władysław SEGDA i Jerzy ZABIELSKI. Odezwały się zatem kawaleryjskie tradycje narodowe. Polacy na koniach i z szablą w rękę wypadli na Olimpiadzie w Amsterdamie bardzo dobrze.

Trzeci medal brązowy — zdobyli wioślarze, czwórka ze sternikiem: Karol BIRKHOLZ, Franciszek BRONIKOWSKI, Edmund JANKOWSKI, Bernard ORMANOWSKI, Bolesław DREWIEK (sternik).

✱

Ale godny szczególnego podkreślenia jest fakt zdobycia przez Polskę pierwszych medali w olimpijskich konkursach sztuki. I tak: złoty medal zdobył w dziedzinie poezji Kazimierz Wierzyński za zbiór wierszy pt. „Laur olimpijski”, medal brązowy — malarz i grafik Władysław Skoczylas za rysunek „Łucznik”.

Olimpijski bilans medalowy i punktowy Polski po dwóch startach był więc już dość pokaźny. (D.C.N.)

PROSTOTA I ELEGANCJA STROJÓW OLIMPIJSKICH

Ubiory polskiej ekipy olimpijskiej w Grenoble zdobyły olbrzymie uznanie. Zostały nawet oficjalnie wyróżnione. Były naprawdę — jak to się zwykle mówi — na medal. Polscy projektanci mody postarali się, aby również elegancko i szlachetnie wyglądały letnie ubiory polskich olimpijczyków w Meksyku.

Galowy strój będzie wyglądał następująco (patrz — zdjęcie obok). Panie ubrane będą w kremowe żakiety i kremowe bluzki z krawatem i naszym polskim emblematem olimpijskim oraz w granatowe, ułożone w fałdy spódnice, oczywiście powyżej kolan; panowie natomiast w granatowe, jednorzędowe garnitury z metalowymi guzikami, białe koszule i ciemne krawaty. Nakrycie głowy (w dwóch fasonach: dla kobiet i mężczyzn) stanowiąc będą słomkowe kapelusze regionalne tzw. mszczonowskie, zdobione sztucznymi kwiatami.



SAINT-ETIENNE I „RUCH” CHORZÓW w I rundzie Pucharu Europy

Już w pierwszej rundzie eliminacji dorocznego turnieju o Puchar Europy klubowych mistrzów piłki nożnej spotkają się: mistrz Francji — Saint-Etienne i mistrz Polski — „Ruch” Chorzów. Pierwszy mecz obu drużyn odbędzie się 18 września w Saint-Etienne, a mecz rewanżowy 2 października w Chorzowie.

W drużynie Saint-Etienne trenowanej przez Alberta Batteux gra wielu reprezentantów Francji. Jest to aktualnie najlepsza klubowa jedenastka kraju, która w sposób zdecydowany zdobyła w tym roku mistrzostwo Francji, uzyskując nad drugą w tabeli drużyną Nicei aż 11 punktów przewagi. „Ruch” Chorzów zdobył po raz pierwszy od wielu lat tytuł mistrza Polski i dotoży zapewne starań, aby nawiązać równorzędą walkę z Saint-Etienne. Obie drużyny mają praktycznie równe szanse zakwalifikowania się do następnej rundy rozgrywek pucharowych.

RADIOODBIORNIKI TELEWIZORY

♦ Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły gospodarstwa domowego ♦

LENG — PICARD ET C-ie

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy
Telefony: 73.39.43, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)



Olimpijska drużyna kolarzy, która w wyścigu na 4000 metrów na torze w Vincennes w Paryżu (1924 r.) zdobyła srebrny medal. Od lewej: Tomasz Stankiewicz, Jan Łazarzski, Franciszek Szymczyk i Józef Lange



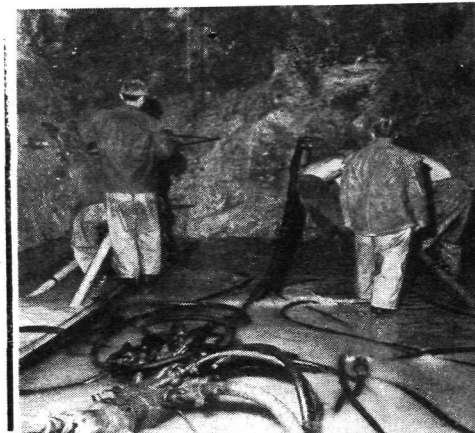
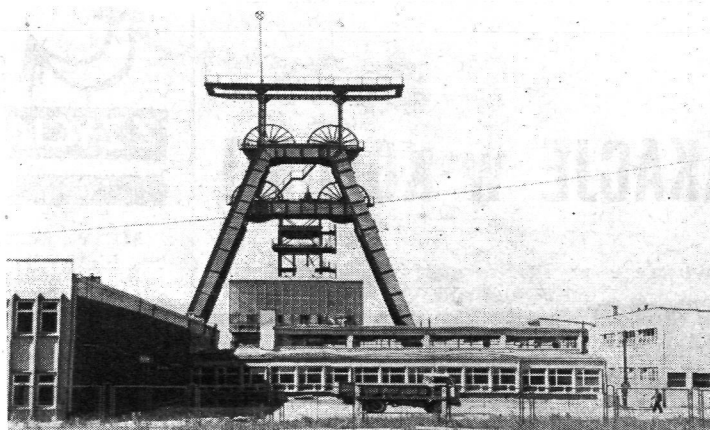
Dyskobolka Halina Konopacka. Na Olimpiadzie w Amsterdamie w 1928 roku zdobyła pierwszy złoty medal dla Polski

Le cinéma en Pologne

L'ANNÉE 1967 a été une année moyenne pour le cinéma polonais. Il a été produit au cours de cette période 20 films de long métrage et 372 films de court métrage. Il ne s'agit naturellement que des films dont la production a été menée à bonne fin; les studios et ateliers de Varsovie, Łódź et de Wrocław ont tourné un certain nombre de films qui seront projetés d'ici peu et qui ont été réalisés en grande partie au cours de l'année passée. La participation des films polonais aux divers festivals internationaux s'est terminée par la remise de onze prix aux films de long métrage (entre autres aux festivals de Venise, de San Sebastian, de Addis Abeba, d'Edimbourg et de Moscou) et de 92 prix et distinctions tant nationaux qu'internationaux aux films de court métrage (documentaires et dessins animés).

En Pologne, peut-être d'une manière moins sensible qu'ailleurs, on remarque une certaine influence du développement de la télévision sur la fréquentation des salles de cinéma. C'est ainsi qu'au cours de l'année dernière le nombre des spectateurs est tombé de un pour cent par rapport à l'année précédente. Parmi les films importés, la première place est occupée depuis d'ailleurs de nombreuses années pour ce qui est du cinéma occidental par les films français; au cours de 1967 on a projeté en Pologne 131 films français, 120 films américains, 80 films italiens, 71 anglais, 21 japonais, 15 suédois etc. Signalons à l'occasion que le film français le plus populaire est „Fanfan la Tulipe” qui depuis quinze ans ne quitte pas l'écran et a été vu par près de 9 millions de spectateurs (dont plus de 2 millions 500 000 pour l'année passée). Sur les cent films les plus populaires de l'après-guerre il y a 28 films français, arrivant en deuxième place derrière les films polonais (32 titres). Le film polonais qui bat tous les records de fréquentation sont les „Chevaliers Teutoniques” qui ont eu en 8 ans exactement 22 146 103 spectateurs.

Pour terminer indiquons qu'au cours de l'année dernière les films polonais de long et court métrage ont été projetés dans 38 pays. Le cinéma polonais a exporté 172 films de long métrage et 821 documentaires et dessins animés.



AUSSI JAUNE QUE L'OR

Pour la fête du 22 Juillet a été inaugurée la mine de cuivre de Lubin et celle de Polkowice dans la voïvodie de Wrocław. Grâce à cet investissement, le plus important dans l'ensemble de l'industrie minière polonaise non-charbonneuse, la Pologne est devenue en un court laps de temps un des plus grands producteurs de minerai de cuivre à l'échelle mondiale. Maintenant, au lieu de l'importer la Pologne sera en état d'exporter ses excédents de cuivre, cet or de l'industrie sans lequel on ne peut penser au développement d'industries telles que l'industrie chimique ou électro-technique. Pour extraire ces trésors dans un sol particulièrement ingrat (sa-

bles mouvants, cours d'eau souterrains etc.) on a bâti là où il n'y avait que champs et pâturages onze puits modernes et plus de quarante kilomètres de galerie. N'ayant au départ aucune spécialisation dans ce nouveau domaine, l'industrie minière a importé entre autres de France plusieurs machines permettant l'extraction du minerai dans les meilleures conditions. Comme on peut le voir sur nos photos, la hauteur des galeries permet un travail dans des conditions qui feront rêver les mineurs de fond obligés de faire sortir des entailles de la terre ses trésors à la sueur de leur front.

LA REINE DES FLEURS

Pendant quelques jours le Parc de la Culture de Chorzów près de Katowice a été la capitale européenne de la rose, cette reine des fleurs. L'exposition bariolée et parfumée a vu la participation d'horticulteurs de l'Europe toute entière (entre autres de France et de Belgique) qui ont présenté aux amateurs venus de tous les coins de Pologne plus de 430 espèces de roses.



● NOUVELLES ECLAIR ● NOUVELLES ECLAIR ●

▲ Le vice-ministre polonais des Affaires étrangères Adam Kruczkowski s'est rendu à Paris dans le cadre des consultations polono-françaises prévues par le protocole signé au cours de la visite en Pologne du général de Gaulle. Le ministre polonais a été reçu entre autres par M. Michel Debré.

▲ Une Cracovienne, Mlle Ewa Wiśniowska, étudiante à l'École Supérieure d'Économie de Crasovie représentera la Pologne au concours de la plus belle fille du monde qui sera organisé à Sofia à l'occasion du prochain Festival mondial de la Jeunesse.

▲ L'ouvrage de Roger Garaudy „Les perspectives de l'homme” vient d'être publié en polonais par une maison d'édition de Varsovie. L'auteur a écrit spécialement pour l'édition polonaise un nouvel avant-propos.

▲ Le 21 août prochain aura lieu pour la seconde fois un match de foot-ball entre l'équipe nationale polonaise et une équipe composée de joueurs choisis parmi l'élite du ballon rond par les lecteurs du quotidien du soir de Varsovie „Express Wieczorny”. Le premier match qui eut lieu l'année dernière se termina par le score 5 à 2 pour l'équipe nationale.

▲ Une délégation du clergé catholique polonais de l'église nationale s'est rendue en Pologne et a remis aux maîtres d'un représentant du gouvernement la somme de 2000 dollars pour la construction du Centre de l'Enfance à Varsovie.

▲ Le théâtre Helena Modrzejewska de Zakopane joue le „Médecin malgré lui” de Molière dans le dialecte des „góral” de la région. La pièce connaît un véritable succès.

▲ En plein coeur de port de Szczecin un aigle blanc, le plus grand et le plus rare des oiseaux de proie s'est construit un nid. Il se nourrit des poissons pêchés de l'Oder.

▲ On apprend la mort de la grande chanteuse polonaise de renom international Ada Sari. Elle était âgée de 82 ans.

▲ La maison d'édition britannique „Pergamon Press” vient de publier en collaboration avec les Editions Scientifiques de Varsovie un nouvel atlas du monde dont les auteurs d'une grande partie des cartes sont des cartographes polonais. Chaque exemplaire de l'atlas pèse 6 kilos.

FOLKLORE PAS MORT

Dans une de nos numéros précédents nous avons présenté à nos lecteurs le musée régional de Łowicz. Cette fois-ci nous vous présentons deux générations d'habitantes pour lesquelles le folklore n'est nullement l'élément principal d'une collection mais quelque chose qui fait partie de leur vie quotidienne. Il est vrai que les amateurs du folklore vestimentaire se font de plus en plus rares et ce n'est que dans certaines régions, telles que justement Łowicz ou les sites montagnards du sud du pays, que l'on retrouve les jours de marché des femmes en costu-

mes rappelant une époque appartenant de plus en plus au passé.



LISINY Józefa
Grzybka

SAMOTNE WAKACJE W KOLONII

Panie Redaktorze!

GÓRNICY mieli wakacje w lipcu, górnicy są już po wakacjach, ale jako że teraz już nie wszyscy mieszkańcy górniczych kolonii są górnikami, jako że nie wszyscy wyjechali w lipcu, tedy w naszej kolonii nadal zionie pachami. Wicek Paszyński, o którym pisałem w ubiegłym liście, już pojechał do Polski. Na wakacje do Kraju pojechali także dwaj inni moi koledzy, Stanis Głowacki i Karol Kudła. Stara Grzmocikowa wyjechała do córki. Brak mi jej, bo nawet nie ma teraz z kim się pokłócić. Wyjechał także na kurację mój francuski kolega Gustave. Z wyjątkiem jednego tylko Józefa Grzybka, wszyscy rozmowni i przyjemni starsi ludzie pojechali na wakacje. Sam jestem na świecie. Nikt mnie o zdrowku nie zapyta. Nikt nie przytuli. Nikomu nie mogę opowiedzieć o książce, którą teraz czytam, ani o tym, że sam zreperowałem sobie „szpadryle”, chociaż gadać mi się chce tak, że szkoda gadać. Cóż, kiedy nie ma z kim. Ach, żeby choć przyjechała z wizytą jaka ciotka albo siostra ciotki, ktokolwiek. Ale jak na złość nie ma nikogo. Od samotności robi mi się czasem w głowie tak pusto, jak w stodole. Patrząc na zalaną sierpniowym słońcem chałupę i choć nie jestem Słowacki, tylko zwyczajny Grzybek, myślę sobie: Smutno mi, Boże. Jeśli tak pójdzie dalej, to zacznę chyba na starość sklecać wiersze.

„No, dobrze — powiedzą Czytelniczki. — Ale dlaczego Grzybek nie rozmawia z żoną? Pokłócił się z nią, czy jak? A może żona od niego uciekła? Nic dziwnego, i tak jest bohaterką, że tyle lat z takim prześmiewnym dziadem wytrzymała!” Otóż, nie. Mimo iż taki jest ze mnie szkaradnie prześmiewny dziad, żonie uciekać się ode mnie nie chce. Żona nie uciekła, tylko pojechała na wakacje. Tak jest, dobrzeście zrozumieli — na wakacje. I tak sama jedna, beze mnie? Ano beze mnie. Przeczytała w jakimś gazecisku, że teraz jest taka moda, że zamężne kobiety same jeżdżą na wakacje, i zaraz powiedziała, że wreszcie, że wielki czas, a córki ją poparły, i w końcu stanęło na tym, że oni wszyscy — to znaczy córki, zięciowie, wnuk i moje serduszko najmilsze — pojedą sobie na wakacje, a ja zostanę w domu. Żeby pilnować chałupy, żeby nie pozdychały z głodu królik, żeby nie zdechł pies itd., itp. Musiałem i tym razem się poświęcić.

Tak więc — żona pojechała na wakacje i jestem sam. Sam sobie jestem sterem, żeglarzem, okrętem... Tak mi się wydawało, ale tak nie jest. Od dziś wiem, że bacznie obserwuje mnie jedna z siasiadek, tylko nie wiem, która. Skąd o tym wiem? Prosta sprawa. Na południe listonosz przyniósł mi list od żony. No i co? Ano to, że w liście tym żona pisze mi, że doniesiono jej, iż cztery dni temu wyszedłem na ogród i długo i natarczywie wpatrywałem się w schnące na drucie nylonowe halki Helci Paprockiej... Grozi mi moje serduszko, że jeśli się nie poprawię, to będę miał z nią do czynienia. Czemu te kobiety nie wymyślają? Czy nie widzą, że jestem już w takim wieku, że ani halki, ani to co pod halką już mnie dzisiaj nie porusza? Że gdybym był naprawdę wpatrywał się w te nieszczerne halki, to najwyżej byłbym zapłakał na myśl o tym, że co minęło, to nie wróci?

Co mi tam dzisiaj po halkach, choćby najpiękniejszych, i co mi po właścicielkach halek, choćby były nie wiem jak przystojne. Kiedy bolą mnie plecy, a jak nie plecy, to kolana, a jak nie kolana, to głowa, i tak w koło. Kiedy chodzę cały jakiś taki połamany. Kiedy jedyna rzecz, za jaką jeszcze naprawdę przepadam, to słońce. Bo lubię się wygrzewać.

Dlatego każdego wieczoru tak pilnie słucham komunikatów meteorologicznych. Codziennie mam nadzieję, że w radiu się nie omylą, ale oni jak na złość myślą się prawie zawsze. Sam nie wiem, może to dlatego, że jak powiada Wicek Paszyński, „te wszystkie atomy i sputki zepsuły powietrze”?

Wicek twierdzi, że dawniej pogoda była o wiele lepsza i pewniejsza. Może to i prawda, ale prawdą jest także, że w dawnych czasach prognozy pogody były jeszcze bardziej zwiariowane niż dziś. Skąd ja mogę o tym wiedzieć? Otóż czytam właśnie książkę zatytułowaną „Najnowszy przewodnik podróżny przez Niemcy, Francję, Włochy i Szwajcaryę”. Rok wydania — 1832. Przywożłem ją z Polski, jest to pamiątka po pradziadku. Stoi w niej m. in., że „pięknej pogody a przynajmniej suchego powietrza można się spodziewać: gdy wieczorem wiele nietoperzy lata, gdy komary po zachodzie słońca igrają i krówki po drogach się uwijają, gdy się kruki gromadnie na polach pokazują, albo grzywacze w lasach hukają; gdy skowronki i jaskółki wysoko latają; gdy pszczoły późno do ulów powracają; gdy żaby w stawach na wieczór rechocą...”, itd. itd...

Uli nieś mam. Stawów u nas nie ma. Nie chce mi się iść w pole badać, czy krówki, czy jaskółki, i tak dalej, pokazują się, uwijają, latają, i tym podobnie. Czy jutro będzie pogoda? W radiu powiedzieli, że nie. Moje plecy też coś przesadzają, bo bolą mnie tak, jakby miał spaść śnieg. Nie wiem na pewno, czy jutro będzie pogoda, ale wierzę, że będzie, i życzę Wam jej, gdziekolwiek jesteście, życzę Wam pięknych, pogodnych dni wakacyjnych i pogody ducha.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef GRZYBEK
z NORDU



GRATULUJEMY ZDANYCH EGZAMINÓW

METZ. Egzaminy CAMOS w zakresie matematyki przygotowawczej złożyli: Francis Konieczny, Jan Krusiński, Zdzisław Mieturka, Marian Nowakowski, Bernard Grzelak; matematyki ogólnej — Yves Matyjasik, Edmund Skrzypczak, Armand Perko; fizyki — Leon Kępka, Franciszek Kaczmarek, Alain Drobiszewski; fizyki ogólnej — Edmund Stawniak; naukowej organizacji pracy — Roland Kubiak, Maciej Woźniak i Michał Zak.

BILLY-MONTIGNY. Egzaminy muzyczne w Stowarzyszeniu Symfonicznym w różnych zakresach złożyli: Elżbieta Pichon, Daniel Baranowski, Elżbieta Szatkowska, Jean-Pierre Baranowski, Michel Masek, Jean-Michel Dmytrow, Anniek Strzelczyk, Dominique Mendyk, Martine Rozdzielska, Christine Knechciak, Filip Dziuba; Geneviève Knechciak, Janine Knechciak, Elżbieta Rudnik, Monika Swidurska, Monika Stokłosa, Fryderyk Knechciak, Renée Pichon, Brigitte Kaczmierzak, Michał Karpik. Jednym z bardzo czynnych profesorów tej szkoły jest p. Edward Kowalski, który prowadzi kurs średni.

Z ŻYCIA TOWARZYSTW

LIÉVIN. Zorganizowany nad brzegami Guemps przez Stowarzyszenie L'Amicale Aristide-Briand międzynarodowy konkurs wędkarski zakończył się triumfem p. Stanisława Krzywuckiego, który złowił 102 ryby, otrzymując za to 1298 pkt. W konkursie wzięło udział 60 wędkarzy.

ANICHE. Kupcy zgrupowani w stowarzyszeniu „Union du Commerce” odbyli swoje doroczne walne zebranie. Po wysłuchaniu sprawozdań został ponownie wybrany na prezesa p. Jacques Szymczyk.

LENS. Dyplomy zawodowe, tzw. „brevets professionnels” otrzymali w zakresie tekstylnym — p. Stanisław Zarąbski w centrum Roubaix; w zakresie krawiectwa budownictwa metalowego — p. Henryk Szofiński z Coudekerque, p. Leon Domagała z Douai, p. Jan Arabucki z Maubeuge, p. J-Claude Solarczyk z Valenciennes; w zakresie tokarstwa — p. Edward Zawadzki z Arras, p. Stefan Piaskowski i p. Andrzej Gostjanowicz z Valenciennes.

LENS. Pomyślnie złożyły egzaminy na sekretarki lekarskie pp. Monika Nowak, Alice Klebacha i Christine Nowak.

HÉNIN-LIÉTARD. „Brevet de technicien” uzyskali w zakresie fabrykacji mechanicznej: pp. Ryszard Groch, Jean-Michel Brzozowski, Ryszard Kasperski, Ryszard Grydrych, Daniel Mularczyk, Jacques Szafraniak, Henryk Tomaszewski, Gérard Wnuk, Leonard Leszczyński; w zakresie elektrotechnicznym pp. Daniel Skyronka, Jean-Claude Trojanowski, Szymon Ochowiec; w zakresie odlewnictwa — pp. Bernard Majewski, Franciszek Marecki; w zakresie budownictwa — pp. Gabriel Nowacki, Michał Kukła, Pierre Urwiński i Jean-Claude Mordka.

SANVIGNES-les-MINES. Komitet górników polskich dzielnicy Essarts zorganizował swój tradycyjny kiermasz roczny. Kiermasz ten połączony był z występami wszystkich okolicznych polskich zespołów folklorystycznych, m.in. zespołu „Kujawy” z Montehnin, KSMP z Gautherets, „Bois du Verne”, Le Creusot i Baudras. Nic dziwnego, że kiermasz cieszył się dużym powodzeniem, zwłaszcza że dopisała pogoda. Stroną gospodarczą imprezy kierował p. Stepieniewicz, który bardzo sprawnie prowadził też część gier towarzyskich.

„Na ryby”

Dokończenie ze str. 13

zmniejsza się powierzchnia wód, z których dawniej można było dowolnie korzystać. I choć powstają nowe sztuczne akweny, to obserwujemy stały ubytek wodnych obszarów dla uprawiania tego pięknego sportu, jakim jest wędkarstwo.

Im bardziej zmniejsza się powierzchnia wód, tym większa liczba wędkarzy przypada na każdy ich hektar. Tym bardziej więc wzrosła rola umiejętności i znajomości sztuki wędkowania. Przemysł produkujący sprzęt wędkarski liczytu się w dostarczaniu coraz wymyślniejszych akcesoriów, w które według reklamowych prospektów powinien być wyposażony nowoczesny wędkarz. Producenci w dużej mierze żerują przy tym na znajomości ludzkiej psychiki, którzy — bowiem wędkarz czy myśliwy — jeżeli tylko ma pieniądze — nie da się złapać na nowości zapewniające doskonałość sprzętu, a zatem wędkarskie czy myśliwskie sukcesy.

Dlatego dzisiejsze wędkarstwo to nie tylko samo łowienie. Przerodziło się ono również w zbieractwo, swoiste kolekcjonerstwo tego wszystkiego, co rynek oferuje wędkarzowi: ogromną mnogość różnych drobiazgów ekwi punktu wędkarskiego. Obserwujemy nawet wśród wędkarzy swoistą rywalizację posiadania wielkiej, bardziej nowoczesnej i oryginalniejszej ilości sprzętu. W ten sposób sport wędkarski przedłu-

żył swój sezon na cały niemal rok. Zimowe wieczory poświęcają jego miłośnicy na porządkowanie wędkarskiego dobytku i jakby powtórne uczestnictwo w przygodach na wodzie z wędką w ręku.

Co stanowi o sile i atrakcyjności tego sportu, który tak lapidarnie scharakteryzował wielki kpiarz literatury angielskiej, Bernard Shaw: „Wędkarstwo — to dwa robaki na przeciwnych końcach tej samej wędki”. Jak silna jest jego atrakcyjność, świadczy o tym literatura światowa, a także literatura polska. Nazwisko Hemingwaya łączy się często z utworem „Stary człowiek i morze”, w piśmiennictwie polskim Jerzego Putramenta — z „Arkadią”, zaś Kornela Filipowicza — z pracą „Mój przyjaciel i ryby”. Najpiękniejsze kartki tych książek poświęcone są wędkarstwu od strony odczuć człowieka w zetknięciu z prymitywną jeszcze przyrodą. W czym jednak tkwi fascynujące przywiązanie do sportu wędkarskiego, który w naszym zmotoryzowanym i zmechanizowanym życiu co roku zwiększa liczbę miłośników. Otóż w tym, że tak jak żeglarstwo i szymbonictwo — szuka ono warunków, w których dominuje cisza. Wędkarstwo uwalnia człowieka od hałasu, tempa i nerwowości współczesnego życia, wyłącza go całkowicie od kłopotliwych spraw dnia codziennego, pozwala mu na swobodny tok myśli, uspokaja jego umęczone nerwy, daje mięśniom szczególne emocje, napawa ducha radością, słowem daje pełny, jakże oryginalny i zdrowy rek-l a k s.

Stanisław LIPIŃSKI

RADY

od serca

DROGA PANI ANNO!

Piszę do pani, bo dłużej nie mogę tak żyć. Mam żonę, dom, dzieci i przyjaciółkę. Ta sytuacja trwa już pięć lat. Ciągłe kłamstwa, oszukiwania, kombinacje, bo przecież muszę to wszystko ukryć przed żoną. Mam 39 lat. Moje życie małżeńskie jest dość zgodne, chociaż skłamałbym mówiąc, że mam żonę szalenie kocham. Nie, tak nie jest. Jestem do niej przywiązany, zbliżają mnie do niej dzieci, wspólny dom, wspólny majątek. Ona należy do kobiet bardzo spokojnych, dobrych, czułych, dba o wszystkich. Gdybym nie spotkał tamtej drugiej, pewnie przeżyłbym życie bez żadnych wstrząsów.

Ale wystarczyła chwila słabości, zakochałem się i związałem sobie ręce. Teraz nie umiem tego skończyć. Próbowałem rozmawiać z moją przyjaciółką na ten temat, ale ona powiedziała, że odbierze sobie życie, jeśli od niej odejdę. Jest to osoba samotna, wdowa, nie ma nikogo i kocha mnie do szaleństwa. Wiem, że to moja wina, że wpakowałem się w taką kabałę, ale co teraz począć? Żony nie zostawię. Z tamtą nie mogę zerwać, a dłużej nie mogę tak żyć jak teraz. Błagam panią o radę.

NIEMIERNY

SZANOWNY PANIE!

Wydaje mi się, że jedyne wyjście to zerwanie z tamtą kobietą. Niech mi pan wybaczy, ale ja nie wierzę w takie groźby samobójcze. To jest zwykły szantaż. Nie rozumiem jak ta kobieta może pana w ten sposób straszyć. Nie rozumiem także, jak może nie mieć odrobiny ambicji. Przecież jeśli pan mówi o rozstaniu, to nie dlatego, że ją pan kocha do szaleństwa. Gdyby miłość jeszcze trwała, nie mówiliby pan o tym.

Nie ma dwóch zdań — nie wolno panu rzucać żony i domu. Nie wolno także kontynuować tego związku, bo w konsekwencji czyni on krzywdę obu kobietom. Moim zdaniem im prędzej pan zerwie tym lepiej.

A swoją drogą to dobra nauka dla niewiernych.

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Mam 32 lata. Dotychczas nie wyszłam za mąż. Nie dlatego, że nie miałam propozycji i kandydatów. Miałam, bardzo wielu. Wszystkich odrzucałam. Mam wstręt do mężczyzn. Ten wstręt pochodzi z dzieciństwa. Gdy miałam 13 lat, zostałam zgwałcona. Nie chcę pani opisywać jak to się stało. Musi mi pani wierzyć, że nie mogę o tym zapomnieć. Gdy zbliża się do mnie jakiś mężczyzna, natychmiast odżywają tamte wspomnienia. Widzę dziką twarz tamtego i od razu staje się arogancka.

Tym razem spotkałam człowieka, który w ogóle nie zwraca uwagi na to, że okazuje mu niechęć. Ciągłe do mnie przychodzi, czeka, umawia się.

Jest to zresztą bardzo miły człowiek i gdybym wiedziała, że nie będzie chciał się do mnie zbliżyć, że nie będzie chciał mnie posłubić, chętnie zaprzyjaźniłabym się z nim. Rozumie pani o co mi chodzi? O to, że bym mogła go traktować jak kolegę.

Boję się strasznie, że gdyby doszło między nami do zbliżenia, coś okropnego by się ze mną stało. Jak mu dać do zrozumienia, tak żeby uwierzył, że nie może na nic u mnie liczyć.

NIESZCZĘŚLIWA

KOCHANA PANI!

Wcale pani nie wierzę. To znaczy przepraszam, wierzę w pani okropne przeżycia. Ale nie wierzę, że tego wspomnienia nie da się wyrzucić z siebie. To zależy tylko od człowieka. To znaczy, czy trafi pani na odpowiedniego partnera.

Wydaje mi się, że człowiek, który teraz jest obok pani, ma wszelkie szanse wyleczyć ją z tego urazu.

Nie należy się oczywiście spieszyć. Przeciwnie. Powoli, z upływem czasu przyzwycz...

czai się pani do myśli o nim. Oswoi z nim. Zobaczy, że on nie ma nic wspólnego z tamtym mężczyzną — zwierzęciem.

Radziłabym także pani wizytę u lekarza specjalisty, może psychoanalityka. Współczesna medycyna może pani przyjść z pomocą.

Ale najważniejsze jest pani własne odrodzenie. Musi pani przestać myśleć o tym, co stało się dwadzieścia lat temu. Musi pani to sobie wytłumaczyć. Niech pani pomyśli — gdyby wyszła pani za mąż bardzo nieszcześnie, na przykład za alkoholika, kiedyś bardzo dawno? Przecież i taki związek pozostawia u kobiet jakiś uraz. A jednak potrafia się z niego wyleczyć.

Niech pani nie odrzuca tego człowieka. Sam fakt, że nie zważa na pani próby zniechęcenia go, że nie odchodzi, świadczy na jego korzyść. A pani, jak rzadko komu, potrzeba ciepła, serdeczności, obecności bliskiego człowieka.

Niechże pani nie rezygnuje z tej szansy. Nie można iść samotnie przez życie dlatego, że kiedyś spotkało nas nieszcześnie.

Proponowałabym pani coś jeszcze. Nie wiem czy mi pani zaufa. Wydaje mi się jednak, że powinna pani wyznać temu człowiekowi swoje przeżycie. Gdy będzie o nim wiedział, lepiej panią zrozumie, stanie się delikatniejszy. Będzie działał rozsądniej, starając się pani nie urazić.

Każdy człowiek musi mieć obok siebie drugiego człowieka, któremu ufa. Niech pani spróbuje zaufać temu mężczyźnie.

ANNA



STANISŁAWA JAMRÓG Miss Polonii kanadyjskiej

9 lipca powrócił do Gdyni z kolejnego rejsu m/s „Batory”. Wśród 561 pasażerów znajdowała się miss Polonii kanadyjskiej — szesnastoletnia p. Stanisława Jamróg. Jest ona uczennicą szkoły średniej w Windsor, w środkowej Kanadzie. Rodzice p. Stasi wyemigrowali do Kanady po wojnie, a ona nie знаła dotychczas ich ojczystego Kraju. Komitet organizacyjny konkursu na najpiękniejszą Polkę w Kanadzie ufundował szcześnie laureatce nagrodę w formie bezpłatnego przejazdu „Batorym” oraz dwumiesięczny pobyt w Kraju.

Na wakacje przybyła również trzydziestoosobowa grupa młodzieży polskiej z Kanady, która spędzi trzy tygodnie na koloniach w Toruniu, a następnie wyjedzie do Opola, gdzie ze składek Polonii kanadyjskiej została zbudowana Szkoła Tyśiąclecia.

Michałinka ma głos

Na końcu języka



To zdanie pamiętam jeszcze z dzieciństwa: „Cały świat się znajduje na końcu języka”. Powtarzała mi to jeszcze moja babcia, kiedy nie umiałam sobie z czymś poradzić. „Tylko zapytaj, moje dziecko, a o wszystkim się dowiesz. Wszystko odnajdziesz na końcu języka”...

Przypomniałam sobie to powiedzonko parę dni temu, gdy wybierałam się z wizytą do moich przyjaciół Pupkowskich, którzy niedawno zmienili mieszkanie. Dzielnica była odległa, nie znałam jej wcale, ale adres miałam zapisany, więc od czego język? Zapytam przechodniów i się dowiem.

Wysiadłam więc z autobusu, trzymając kwiatki w ręku, i przystępuję do pierwszej napotkanej paniusi.

— Przepraszam bardzo, gdzie tu jest ulica Duvernet?

— Duvernet? To tuż przy placu Wolności.

— A gdzie jest plac Wolności?

— Tam, gdzie kościół.

— A gdzie jest kościół?

— Proszę iść wprost, potem na prawo, potem drugą uliczką w lewo, następnie skrócić obok mostu w boczną aleję i stamtąd już prościutko do placu Wolności.

Podziękowałam serdecznie i ruszyłam we wskazanym kierunku. Za chwilę jednak zapomniałam, czy wprawdzie skrócić w lewo a potem w prawo, i czy wejść w drugą uliczkę, czy w boczną aleję. Zwróciłam się do następnego przechodnia.

— Przepraszam bardzo, którą do placu Wolności?

— O, to tuż za ulicą Kasztanową.

— A gdzie jest ulica Kasztanowa?

— Niedaleko, proszę skrócić za tym budynkiem, potem w prawo, następnie w górę i trzecia przecznica w lewo to ulica Kasztanowa.

— Uprzejmie dziękuję — rzekłam i ruszyłam naprzód. Ale gdy wyszłam w górę, już mi się pomieszało, czy wejść w drugą przecznicę na prawo, czy w trzecią na lewo. Ale od czego język?

— Przepraszam, którą do ulicy Kasztanowej?

— A o który numer pani chodzi? — spytał mnie zaczepony starszy pan.

— Mnie nie chodzi o samą Kasztanową, tylko o plac Wolności...

— Więc pani szuka placu?

— Nie samego placu, tylko ulicy Duvernet...

Spojrzał na mnie z politowaniem i odwrócił się na pięcie.

— Dziękuję uprzejmie — rzekłam i zaczęłam nadal rozpytywać.

— Ulica Duvernet? — odparł mi napotkany młodzieniaszek — ależ to daleko. Proszę wziąć autobus.

— A którą do autobusu?

— O tam, proszę wejść w pierwszą uliczkę na prawo, skrócić obok mostu, potem za garażem już wprost do stacji autobusowej.

Odszukałam z trudnością autobus. Czekałam nań 20 minut. Wreszcie wsiadłam, zapytałam konduktora o informację, przejechałam trzy przystanki i wysiadłam w tym samym miejscu, dokąd zjechałam przed godziną.

Kiedy wreszcie trafiłam do moich przyjaciół Pupkowskich, moje kwiatki były już zwiędnięte, a goście się rozeszli i nie zostało dla mnie ani kawałka czekoladowego ciasta. Gospodarze załamali ręce.

— Dlaczego tak się spóźniłaś?

— Nie mogłam trafić.

— Trzeba było zapytać o drogę. Przecież wiesz, że wszystko się znajduje na końcu języka!...

— No właśnie...

MICHALINKA

MODNE KAPELUSZE



Tegoroczne lato, częściowo upalne, to znów bardzo wietrzne narzuca modę kapeluszy. Ta młoda dama — zdjęciu ma — jak widać — bardzo trudny wybór. Czy nosić kapelusz z cienkiej słomki? A może z grubszej? Czy ładniej jest jej w jaśniejszym kapeluszu, czy może w ciemniejszym? A może wybrać kapelusz azurowy?

Tylko kobieta może zrozumieć tę duchową rozterkę.

Jedno jest pewne, że kapelusze chronią nas przed nadmiernymi promieniami słońca, a w ogóle to bardzo zdrowo nosić kapelusz.

A jaki? To już rzecz gustu!

B. DOWOJNA-BIENAIME

TŁUMACZKA PRZYSIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH SĄDACH W PARYŻU

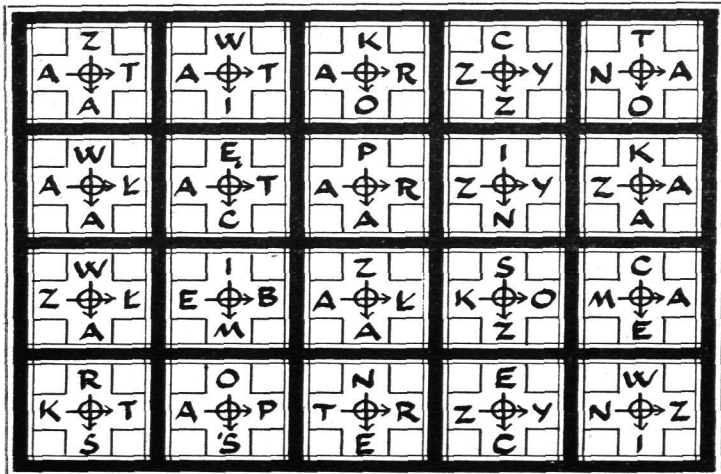
Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle PARIS (5e)

METRO: PONT-MARIE TELEFON: ODEon 41-17

Rozrywki umysłowe

PRZEKŁADANKA TAFELKOWA

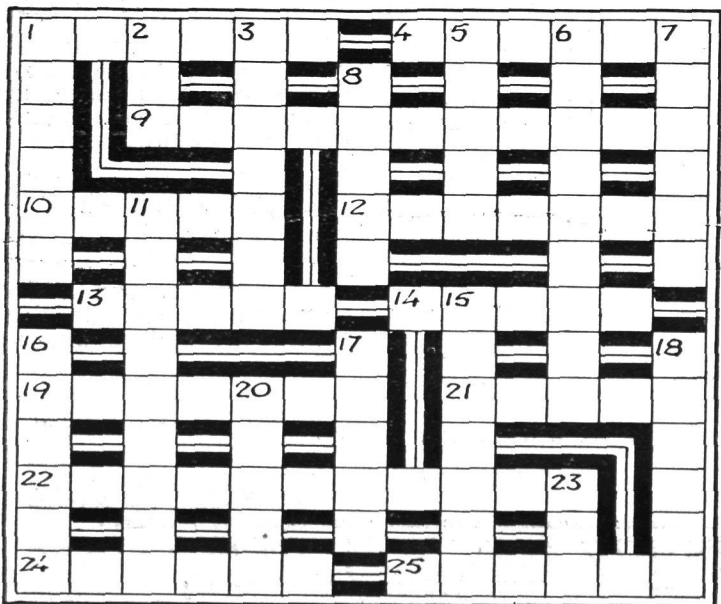


Prosimy odgadnąć 16 wyrazów 5-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je do odpowiednich pól dookoła liczb wpisanych w kółka. Początek i kierunek wpisywania wskazują strzałki.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) prawobrzeżna Warszawa, 2) krach majątkowy, bankructwo, szczątki dawnej świetności, 3) firmament niebieski, 4) niepokój, 5) długa, cienka gałązka, różga, 6) szeroki i ciężki nóż kuchenny, 7) zasłona na okno, roleta, 8) „sztuczny człowiek”, 9) skok akrobatyczny z wywijaniem koźła w powietrzu, 10) jest ponoć mądry po szkodzie, 11) najszybszy bieg konia, 12) kłamstwo, igrastwo, bujda na resorach, 13) schadzka czarownic według dawnych wierzeń ludowych, 14) pieśń o małym dziecku, 15) fałdowana ozdoba z koronki lub jedwabiu noszona pod szyją przez kobiety, 16) pakunki podróżne.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają bezbłędne rozwiązania, rozlosujemy NAGRODY KSIĄŻKOWE

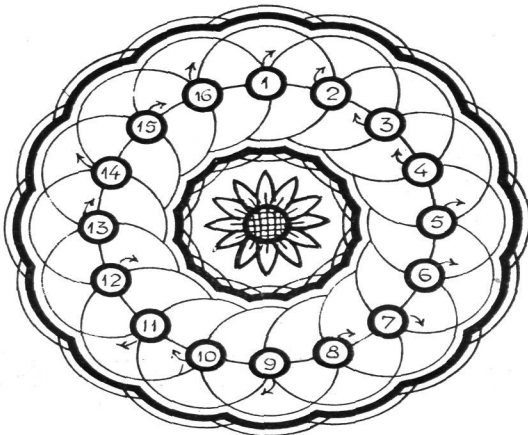
KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1) dowód asekuracyjny wydany przez instytucję ubezpieczeniową, 4) rodzaj drewnianego wiaderka

Rysunek, który widzicie, zawiera 20 tafelek ułożonych w ten sposób, że pionowo tworzą one 5 słupków po 4 tafelki i poziomo 4 rzędy po 5 tafelki w każdym. Poza tym w każdej tafelce znajdują się wpisane litery, parami połączone strzałkami, z których jedne skierowane są z góry na dół, a drugie od lewej na prawo. Aby rozwiązać zadanie prosimy najpierw w poszczególnych słupkach przedstawiać tafelki w kierunku pionowym, żeby litery czytane z góry na dół dały nazwy 5 miast polskich. Nie podajemy bliższych określeń, jakie to mają być miasta, gdyż wtedy zadanie byłoby za łatwe. Na pewno je znacie i bez trudu odgadniecie. Może dodamy tylko tyle, że są wśród nich 3 miasta wojewódzkie. Gdy już tafelki zostaną tak przedstawione, że odczytacie nazwy miast, wtedy litery połączone poziomymi strzałkami od lewej na prawo utworzą znane przysłowie. Wystarczy tylko je odczytać poziomymi rzędami.

ROZETKA



używanego przy dojeniu krów, 9) wielki poeta, Jan z Czarnolasu, napisał „Treny”, 10) inaczej sklejka, 12) masowe morderstwo bez miłosierdzia, krwawa rzeź, 13) stary, zabytkowy mebel, 14) scena cyrkowa, 19) specjalne szkła wyrównujące wady wzroku, 21) spis, lista, rejestr, 22) sławny pisarz, autor powieści „W pustyni i w puszczy”, 24) maszt radiostacji z zespołem drutów, 25) pakunek, zawiąniętko.

PIONOWO: 1) stanowisko dające stały dochód, zajęcie, urząd, 2) pasmo wijących się włosów, pukiel, kędzior, 3) piecywo specjalnie wysuszone do dłuższego przechowywania, 5) fiasko, kłapa lub pieczeń rzymska, 6) owad skaczący, konik polny, 7) ogół warunków atmosferycznych danego obszaru ziemi, 8) bezpłatnie lub próżno, zbytecznie, 11) współzawodnik, rywal, 15) równa, płaska przestrzeń ziemi, 16) place przeznaczone do ćwiczeń, gier i zawodów sportowych, 17) szwajski stołek, 18) szczelina rozpadlina, rysa, 20) sznur z pętlą do chwytania zwierząt, lasso, 23) krzywe spojrzenie, wada wzroku.

C'est la vie

POJEDYNEK NA NOZICZKI

Do serdecznych przyjaciółek 18-letniej Haliny K. i 19-letniej Zofii M. z Rudy Śląskiej zalecał się pewien student z Gliwic. Po stwierdzeniu zaskakującego faktu, iż są rywalkami, dziewczęta postanowiły rozstrzygnąć spór o chłopca przy pomocy nożyczek. Zgodnie z poprzednio zawartą umową, zwycięstwo w oryginalnym turnieju miało należeć do tej, której się uda uciąć przeciwnicze warkocz. W ferworze walki Halina obcięła rywalce... pół lewej małżowiny usznej, za co ta w rewanzu przebiła przeciwnicze policzki. Warkocze pozostały jednak na swoim miejscu!

JAK W STARYM KINIE

Jak w starej komedii filmowej zakończyła się uroczystość rodzinna u państwa Z. z Świętochłowic. W chwili podawania tortu wybuchła sprzeczka pomiędzy małżonkami. Na głowie męża wylądował ogromny kawał tortu. Pan domu zrewanżował się w ten sam sposób i tak zaczęło się ogólne „bombardowanie”. Po kilku minutach stół był pusty, półmiski rozbite, a ich zawartość — na ścianach oraz twarzach i ubraniach całego towarzystwa. Epilog rozegra się przed sądem. Dwie pary skarżą gospodarzy, żądając odszkodowania za zniszczone ubrania.

PODSŁUCHANE

— Bardzo panią przepraszam — zwraca się do opalającej się kobiety jakiś plażowicz — czy to może pani synek zakopuje w tej chwili w piasku moją koszulę? — Nie, to mój siostrzeniec. Mój synek to ten, który w tej chwili wlewa wodę do pana skarpetek.

WIELKA EMOCJA I... JEJ SKUTKI

Od czasu do czasu zdarzają się wygrane w wysokości miliona w Toto-Lotka. Po te miliony zaś przychodzi święto upieczeni milionerzy. Towarzyszy temu niezwyklej emocja. Ostatnio w łódzkim Toto-Lotku kobieta, która wygrała milion, zapomniała... jak się nazywa.

APEL-RADA

„Kurier Szczeciński” radzi: „Panowie, rozpoczyna się sezon wczasowy. Pieczętowanie dbajmy o linię: po co męczyć się później na plaży z wciąganiem brzuszka!”

11-LETNIA HOBBYSTKA

Spaniele, bokserzy, owczarki, pudle, buldogi i psy innych ras, eksponowała na znaczkach pocztowych i etykietkach zapalczanych 11-letnia hobbystka z Krakowa Elżbieta Grabikowska na wystawie pt. „Pies w filatelistyce i filumenistyce”. Na wystawie zorganizowanej z okazji 20-lecia Krakowskiego Oddziału Związku Kynologicznego zgromadzono kilkadziesiąt znaczków i etykiet z kilkudziesięciu krajów zebranych przez uczennicę 4 klasy szkoły podstawowej. Pokazano też unikalne kasowniki pocztowe.

Elżbieta Grabikowska na szeregu wystawach — m. in. w Lublinie, Przemyślu, Zakopanem i Krakowie — zdobyła 2 srebrne medale oraz wiele wyróżnień.

„FARBOWANI” MILICJANCI

Szczecińska MO zatrzymała grupę przestępców, którzy w przebraniu milicjantów i ormowców na szosie Szczecin-Tanowo zatrzymywali samochodów, zarzucał kierowcom naruszanie przepisów i pobierali mandaty. Nie wystawiali natomiast pokwitowań.

KŁOPOTY Z ZUBRÓWKĄ

Polska wódka „Zubrówka” cieszy się coraz większym powodzeniem odbiorców zagranicznych. Wódki tej mądrze by sprzedać znacznie więcej, ale produkcja jest ograniczona na z powodu braku... trawki żubrowej. Już obecnie przemysł spirytusowy skupuje jej około 2 ton rocznie, ale to nie wystarcza. Mając na względzie dobro eksportu, „Las” zamierza założyć plantację tej rośliny.

WJECHAŁ DO SYPIALNI

Mieszkańców drewnianego domku we wsi Brzeg koło Podębic w woj. łódzkim wyrwał z głębokiego snu potworny rumor. Zawałił się ściana. Gospodarz przekonany, że to trąba powietrzna wali dom, uciekł z pościeli. Jego żona obudziła się uwięziona szafa. Sprawca tego niezwykłego wypadku był autobus PKS. Jego kierowca pozwolił prowadzić wóz bratu. Temu zaś pomylił się pedał hamulca z pedałem gazu. W rezultacie wjechał do sypialni wiejskiej chaty.

PSZCZOŁY NA STACJI

Na jednym z peronów katowickiego dworca wielkie zamieszanie wśród podróżnych sprawiły... pszczoły. W chwili ładowania do wagonu bagażowego cały ich rój uciekł ze skrzynki i rozproszył się wśród oczekujących na pociąg osób. Rozległy się wrzaski, przerażeni ludzie machali rękami i uciekali. Wreszcie przy pomocy „sztucznego deszczu”, czyli polewania wodą, udało się zbiegów zapędzić na kwiatowy klomb i stamtąd na powrót zabrać do prowizorycznego ula.

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris

34/7 rue Chauteur-Lodelinsart
Mme OL KUC
C.C.P. 66.69.45 Belgique

Cena prenumeraty:
rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.
kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.

Président Directeur Général: Danuta JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE
Zakłady Graficzne „Tamka”,
Zakł. nr 1, Varsovie, Tamka 1

KSIĄŻKA

Dokończenie ze str. 36

1 września drukarni opiekę nad Edmundo- wi Osmańczykowi udało się w ostatnim momencie jeszcze zbiec do Polski, a Jan Langowski powędrował na pięć lat do obozu koncentracyjnego. Cały nakład leksykonu skonfiskowano i spalono do ostatniego egzemplarza. Wydawało się, że du-

goletnia, żmudna praca poszła na marne, tym bardziej że konspiracyjnie przewożona część nakładu każdego arkusza do Katowic i Warszawy zaginęła we wrześniu 1939 roku; zniszczeniu uległy również archiwa Związku Polaków w Niemczech, łącznie z Centralą Prasową i archiwum fotograficznym „Młodego Polaka w Niemczech”.

Tymczasem... jeden egzemplarz leksykonu zachował się. Uratował go zecer „Nowin”, ten sam, który składał pracę — Jan Trzeciok, dziś drukarz Opolskich Zakładów Graficznych. Trzeciok zdając sobie sprawę z bezcennej wartości wydawnictwa, wyniósł już po opieczowaniu drukarni przez hitlerowców potajemnie z magazynu komplet wy-

drukowanych arkuszy, które ukrył między krok- wiami na strychu swego domku w Winowie. Kiedy po wojnie przyjechał do Opola Osmańczyk, Trzeciok wręczył mu oprawiony przez siebie egzemplarz leksykonu. Potem okazało się, że zachowały się jeszcze dwa egzemplarze pierwszych arkuszy encyklopedii do litery „G”, z których jeden jest w posiadaniu pisarza Wilhelma Szw-

czyka. Przechowany przez Jana Trzecioka egzemplarz „Leksykonu Polactwa w Niemczech” posłużył do przygotowania obszernej pracy na jego temat, która ukaże się w 1969 roku nakładem wydawnictwa „Śląsk”.

SKANSEN, jak wiadomo, jest to muzeum na wolnym powietrzu, w którym, wzorem Skandynawów — skąd wywodzi się jego nazwa, gromadzi się zabytki budownictwa i sztuki ludowej z całym jego artystycznym wyrazem i folklorem. Ale gdy dodamy do tego łowicki, to wyobrażamy sobie coś bajecznie kolorowego, radosnego, jak tańczona przez sławny już w świecie zespół „Mazowsze” suita tańców łowickich.

Oczywa wyobraźni widzimy barwne stroje chłopskie, „pasiaki” kobiet i mężczyzn, chałupy wzorzyście malowane z zewnątrz, a ich wnętrza pięknie ozdobione. Taki jest w rzeczywistości łowicki skansen, który otwarto niedawno.

Skansen znajduje się w ogrodzie przyległym do gmachu Muzeum. Tutaj, wśród kwiatów stoją dwie zagrody chłopskie przeniesione z terenu powiatu łowickiego. Pierwsza z nich pochodzi ze wsi Goleńsko. Jest to stara zagroda zbudowana na przełomie XVIII i XIX wieku. I co ciekawe — chałupa zbudowana jest bez jednego gwoźdźdź. W terminologii budowlanej jej konstrukcję określa się jako wieńcowo-zrębową. Od strony podwórza przylega do domu równie zabytkowa obora. Dalej znajduje się piwnica-ziemianka do przechowywania płodów ziemi. Za ziemianką stoi XVIII-wieczny śpichlerz, zwany w Łowickiem — lamusem. Ta ciekawa konstrukcja zbudowana jest z bardzo szerokich bali drewnianych, z węglami, czyli narożnikami łączonymi w tzw. rybi ogon.

Sciany domu mieszkalnego są bia-



Chatupa ta, biała malowana w kwiaty, pochodzi z końca XVIII wieku. Przeniesiono ją ze wsi Goleńsko w 1964 r.

ŁOWICKI SKANSEN

łe, malowane w kwiaty. Nad wejściem do domu tabliczka z nr 90, nazwiskiem właściciela — Maciej Kuśmider i dwoma znakami: bosakiem i tłumnicą. Jak nam wyjaśniono, nad każdym domem oznaczone były sprząty, jakie dany gospodarz miał nieść w razie pożaru.

Wnętrze tej chaty jest przedzielone sienią. W lewej izbie warsztat tkacki, a z prawej kuchnia. Sprząty skromne, własnego wyrobu świadczą, że właściciel tej chaty był chłopem ubogim, pańszczyźnianym.

Druga zagroda jest już znacznie bogatsza. Prowadzące do niej wrota są ozdobione rzeźbionymi w drzewie zwierzętami domowymi. Jest tu gęś, prosie, kogut, baran, pies, kura i kot.

Zagroda jest zbudowana w kształcie czworoboku i pochodzi sprzed 100 lat. Dom malowany jest na niebiesko, podobnie jak i ściany izb. Kolor ten, najczęściej używany na wsi łowickiej, podobno odstrasza muchy.

Na zewnątrz chata malowana w białe kwiaty, a wewnątrz widzi się wszystkie kolory tęczy. Dom również dwuizbowy, ale już znacznie zamożniejszy, należał do Bartosza Kołaczyńskiego ze wsi Złaków Borowy. Ten gospodarz miał nosić w razie pożaru drabinę i wiaderko.

Ale wejdźmy do środka. Sciany zdobi mnóstwo obrazów, różnobarwne

wycinanki, a u powały wiszą kolorowe „pajaki”. Meble w tej chacie są rzeźbione i malowane.

Między chałupami stoi studnia z żurawiem.

Przed zagrodami, w ogrodzie pełnym kwiatów przeniesionych z wiejskich ogrodów Łowickiego, stoi oryginalny figuralny ul. Jak twierdzi kustosz Muzeum i skansenu mgr Henryk Świątkowski, bartnik Jan Golis ze wsi Złaków Borowy miał 30 figuralnych uli. W czasie okupacji hitlerowcy zrabowali te dzieła sztuki ludowej i wywieźli.

Skansen łowicki jest młody i znajduje się w rozbudowie. Będą tu pokazane narzędzia rolnicze, sprząty domowe i pojazdy. Ostatnio udało się kustoszowi odnaleźć piękne radio z XVIII wieku.

Zwiedzając skansen oczywiście oglądaliśmy i Muzeum. Jest bardzo interesujące i godne zwiedzenia. Zachowała się wspaniała kaplica barokowa pod wezwaniem św. Karola Boromeusza, której całe sklepienie pokrywają freski wykonane w 1695 r. przez florentczyka, Michała Anioła Palloniego.

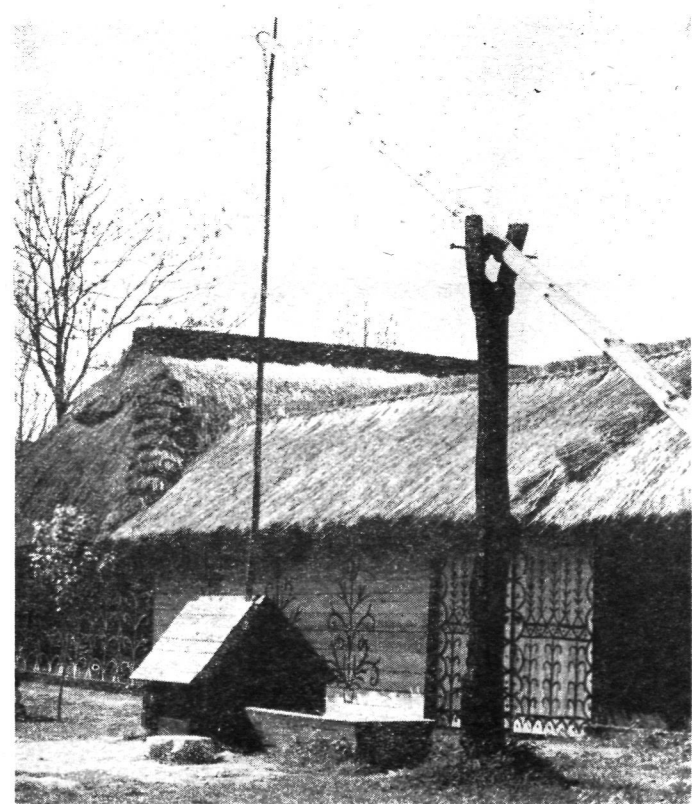
Zachwył zwiedzających budzi przebogaty dział etnograficzny, w którym zgromadzono najpiękniejsze dzieła sztuki ludowej Ziemi Łowickiej.

W.K.

A Łowicz, capitale d'une des régions les plus pittoresques du centre de la Pologne, a été ouvert un musée portant le nom de Skansen Łowicki. Ce mot d'origine scandinave signifie un musée en plein air consacré à l'ethnographie et au folklore d'une région. Le skansen de Łowicz est situé près du musée régional dirigé par M. Henryk Świątkowski qui a rassemblé plusieurs bâtisses campagnardes datant des siècles passés retrouvées dans certains villages de la région. C'est ainsi par exemple qu'on peut y admirer une maison de campagne datant de la fin du XVIII et du début du XIX-ème siècle qui a été construite qu'elle a été construite uniquement en bois sans employer un seul clou. A côté on peut étudier de près comment vivait les habitants de la région à des époques aujourd'hui dévolues. On remarque par exemple que chaque maison portait un dessin sculpté directement dans le bois représentant des objets concrets. L'explication est simple — il ne s'agit pas d'écusson ou de blason, bien que la petite noblesse était ici nombreuse, mais de l'illustration de ce que devait prendre avec soi le propriétaire de la bâtisse en cas d'incendie. A côté des maisons d'habitation on trouve dans les jardins du musée des ruches en bois représentant des figures humaines, style propre à la région. Le skansen ne se borne pas à présenter l'extérieur des maisons, on peut également apprendre comment vivait le paysan, quels étaient ses meubles, de quoi était faite sa vaisselle, comment s'habillait-il etc. Nous présentons

souvent des photos des costumes folkloriques de la région de Łowicz, mais ce n'est que sur place que

l'on peut se rendre compte de leur beauté et de l'originalité de leurs façons et de leurs couleurs.



Takie studnie-żurawie spotyka się jeszcze dziś



W skansenie są piękne, stare chaty, których wnętrza są bardzo kolorowe



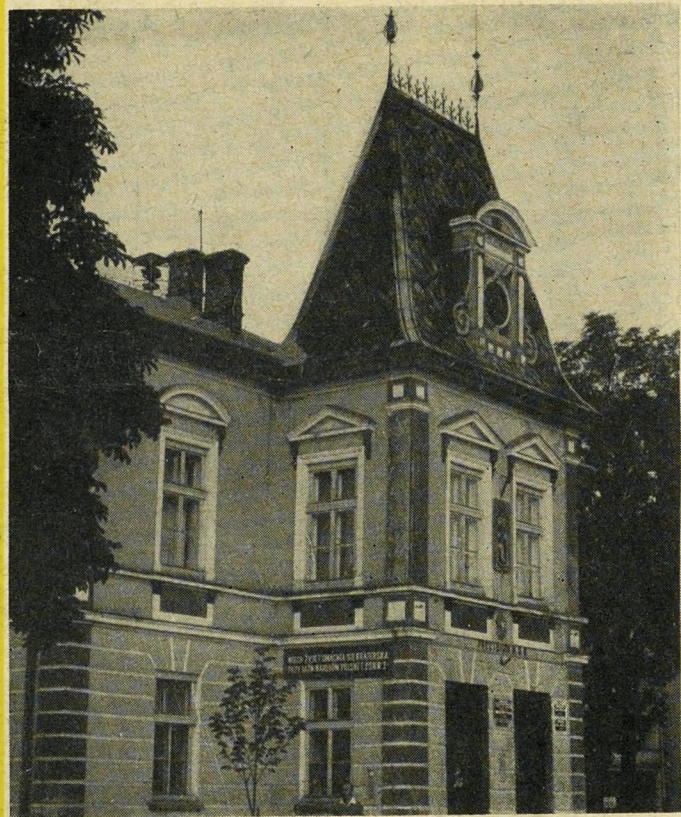
Grupa dzieci w łowickich strojach ludowych nie należy tutaj do rzadkości

PIĘKNO ZIEMI SANOCKIEJ

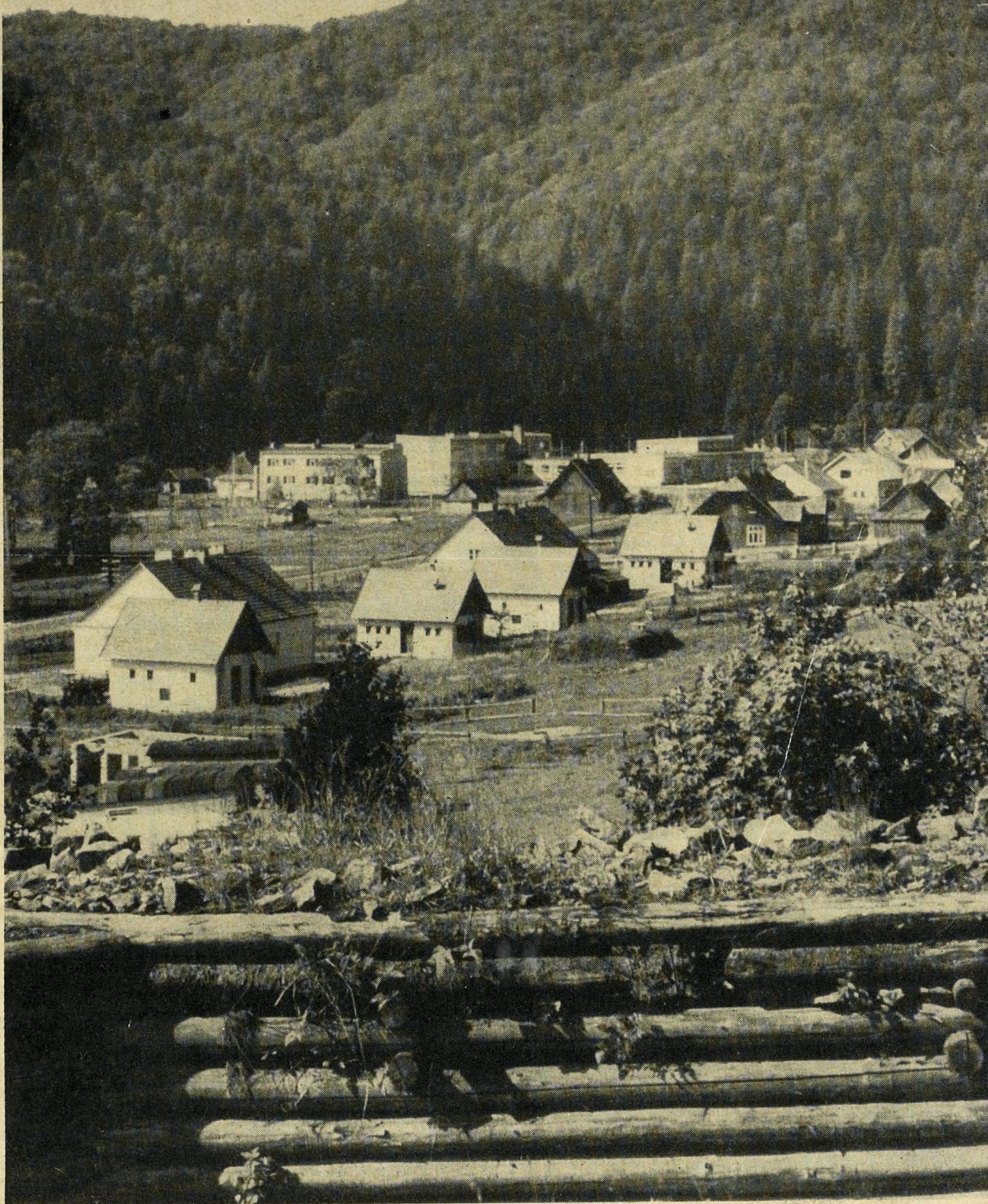
Ziemia Sanocka stanowi najbardziej na wschód wysuniętą część Polski. Na jej południowym krańcu wzdłuż granicy z Czechosłowacją rozciągają się Bieszczady, stanowiące część Beskidu Wschodniego. W obecnym podziale administracyjnym dzieli się ona na trzy powiaty: sanocki — z miastami Sanok i Rymanów, zdrojowiskiem w Rymanowie i przeszło dwudziestoma gromadami, z których znaczniejsze to — Besko, Bukowsko, Komańcza, Niebieszczady i Jaślicka; leski — z miastem Lesko i dwunastoma gromadami, z których kilka to letniska, jak: Baliogród, Cisna, Hoczew, Jasień, Myczków i Łukowica, oraz ustrzycki z miastem Ustrzyki Dolne i dziesięcioma gromadami, z których znaczniejsze to: Krościenko (nie mylić z Krościenkiem nad Dunajcem), Czarna, Jasień, Ustianowa, Wankowa i Wojtkowo.

Cały ten teren jest wyjątkowo piękny, przecina go San swym górnym biegiem oraz jego dopływy Wellna, Solinka, Ostawica, Sanoczek i inne. Na nim właśnie zbudowana została w ostatnich latach jedna z największych inwestycji wodnych, potężna ZAPORA W SOLINIE, która po spiętrzeniu wód zmieniła bardzo krajobraz tej części Ziemi Sanockiej. W otoczeniu malowniczych stoków górskich, pięknie zalesionych, powstało olbrzymie jezioro, a wokół niego już wyrósł i nadal wyrastają ośrodki wypoczynkowe, wczasowiska, campingi, stacje żeglarskie i wioślarskie.

Ziemia Sanocka, to ziemia znakomitego komediopisarza ALEKSANDRA FREDRY, geografa i poety WINCENEGO POLA, ziemia wielu wydarzeń historycznych, a w latach bezpośrednio po drugiej wojnie — zaciętych walk o zorganizowanie na tych terenach państwowości polskiej. Zginął w tych walkach w rejonie Baligrodu m.in. gen. Walter-Swierczewski.



Lesko jest niewielkim miasteczkiem nad Sanem na jego prawym brzegu. Znane było już w XIV w. Dziś jest ośrodkiem przemysłu drzewnego, chemicznego i spożywczego, a od niedawna także centrum turystycznym. W czasie walk w 1944 r. zostało bardzo zniszczone. W jednej z pozostałych kamieniczek mieści się Rada Narodowa. Poniżej: San koło Leska z panoramą na Bieszczady



Cisna — malownicza wieś w głębi Bieszczadów. Za czasów dramaturga Aleksandra Fredry — ośrodek hutnictwa. Centrum przemysłu drzewnego z dużym tartakiem. Letnisko i zimowisko. Punkt wyjściowy na wiele turystycznych szlaków w okoliczne wzniesienia. W czasie ostatniej wojny wiodła tędy jedna z konspiracyjnych tras przez Węgry, Jugosławię, Włochy do Francji

La Terre de Sanok, comme l'appelle la plupart des habitants de la région, est la partie la plus à l'est de la Pologne. Au sud elle s'étire le long de la frontière tchécoslovaque, à l'est elle touche l'Ukraine. C'est est une région particulièrement pittoresque et un lieu rêvé pour les amateurs de tourisme pédestre (on peut naturellement faire le voyage en voiture). En plus des villes et bourgades telles que Sanok et Komańcza, la région des Bieszczady faisant partie du Beskide oriental est réputée pour ses stations thermales telles que Rymanów et Bukowsko et ses lieux de repos tels que Ustrzyki ou Czarna. La Terre de Sanok est la patrie du célèbre dramaturge Aleksander Fredro et du poète Wincenty Pol. C'est également une région qui est entrée dans l'histoire de la Pologne combattante comme le lieu où est tombé le général Karol Swierczewski, le légendaire général Walter de la guerre d'Espagne. Pendant l'occupation cette région cachait de nombreux patriotes et servait de point de passage aux courriers et agents de liaison venant de France, de Hongrie et même d'Angleterre.

